Nr. 46 (1453). Warszawa, 14 Listopada 1908 r. Rok XXVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

Koncentracja narodowa.

Wspólna odezwa trzech stronnictw politycznych w sprawie szkolnej dwa z nich doprowadziła do zbyt daleko idących wniosków.

Stronnictwo polityki realnej za pośrednictwem organu swego *Słowa* wyraziło zadowolenie z tego, że „zagrożenie bytu szkoły polskiej zdołało zbliżyć do siebie ludzi *różnych kierunków myśli politycznej* i to zbliżyć szybciej, a daj Boże, i skuteczniej, niżeli jakakolwiek inna dotychczas sprawa".

Jeszcze dalej idzie w tym kierunku *Głos Warszawski*, organ sztabu głównego Demokracji Narodowej, według którego niedawny dramat szkolny dowodzi, że „idea koncentracji narodowej była ideą żywotną, którą napowrót powołują do życia warunki realne, pomimo wszelkich teoretycznych wątpliwości, jakie koncepcja ta budzić może".

Nadzieja „Koncentracji narodowej" i „wspólnej pracy" na wspólnym gruncie narodowym, zbudzona pod wpływem kilku posiedzeń przedstawicieli trzech stronnictw, w sprawie szkolnej, niezakłóconych „żadnym zgrzytem ani rozdźwiękiem", zwrócona jest oczywiście w stronę Zjednoczenia Postępowego, które zarówno *Słowu* jak i *Głosowi Warszawskiemu* zrobiło, jak gdyby, przyjemną niespodziankę.

W głosach tych pism brzmi obok zadowolenia, jak gdyby pewne zdumienie.

I to zdumienie właśnie przedewszystkiem wymaga wyjaśnienia.

Demokracja Narodowa, bo jej przedewszystkiem wyjaśnienie to się należy, wojująca z całą bezwzględnością najbardziej ryzykownymi hasłami, nie wahała się ogłosić za nienarodowe wszystkich stronnictw, które stanęły pod hasłem postępu. Tłumy niekrytyczne wierzyły temu, pod wpływem szczególnego nastroju chwili i wypadków z przeszłości, ale na czym polegało to rzekome zaparcie się narodowości przez postępowców, jakimi czynami stwierdzili je oni, tego D. N. nigdy nie wyjaśniła, i naturalnie, nigdy wyjaśnić nie mogła, bo był to jeden z tych fałszów świadomych zapewne ze strony jej augurów, którymi D. N. szafowała zawsze bez skrupułów, aż wreszcie sama się w nich zawikłała.

Fałsz ten tłumaczy nam, dlaczego *Głos Warszawski*, i, co już jest mniej dla nas zrozumiałe, *Słowo*, widzą we współdziałaniu Zjednoczenia Postępowego w sprawie szkolnej jakiś szczególny wypadek, jakąś nową erę w dziejach współżycia naszych stronnictw.

Tam, gdzie interes narodowy jest zagrożony, gdzie potrzeba stanąć „ramię przy ramieniu" w jego obronie, stronnictwa postępowego jak w przeszłości, tak i w przyszłości nigdy nie zabraknie w szeregach walczących, bez względu na to, czy będzie szło o codzienną, drobną robotę polityczną i społeczną, czy o szerokie rzuty w chwilach stanowczych.

Ale, według nas, nie jest to żaden zwrot nowy w polityce postępowców, ani też jego zapowiedź. Nic się nie zmieniło i zmienić nie może we wzajemnych stosunkach obozu postępowego do innych stronnictw. To, co go łączyło z nimi, łączyć go będzie nadal, a to, co go dzieliło z nimi, dzielić będzie i na przyszłość.

Różnice stronnictw tkwią głęboko w stosunkach społecznych, są wytworem różnicy potrzeb materjalnych i duchowych, dążności i interesów pewnych warstw narodu i dlatego mogą się powiększać lub zmniejszać tylko stosownie do zmian, jakie zachodzą w życiu społecznym ale nie mogą zależyć od żadnych względów zewnętrznych lub przypadkowych.

Szczególny kładę na to nacisk z tego względu, że, obok przypuszczenia „nienarodowości" postępowców, nadzieja zbliżenia się ich do realistów i demokratów narodowych, opiera się przedewszystkiem na zmianie warunków zewnętrznych.

Słowu zdaje się, że „gdy się zbliżyły do siebie: zarówno ocenianie położenia, jak i poglądy na środki, musiało nastąpić zbliżenie w poglądach, co do metody działania *na daną chwilę* (pokreślenie Słowa), nie przesądzając zupełnie o stanowisku zasadniczym".

O wiele wyraźniej myśl tę wypowiada i szersze wyprowadza z niej wnioski *Głos Warszawski.*

„Życie realne wskazuje mu dzisiaj z jednej strony, że zadania polityczne chwili bieżącej sprowadzają się przedewszystkiem do obrony elementarnych praw bytu, z drugiej zaś, że obrona ta staje się coraz trudniejszą, powołani więc do niej muszą być wszyscy ludzie żywi, dolę i niedolę narodu szczerze odczuwający, o dobro narodu szczerze dbali, bez względu na swe zawołanie partyjne", wobec czego „Koncentracja narodowa odżyła dziś w nowej formie i przed nowymi staje zadaniami".

Zaznaczę mimochodem, że D. N. nie ma szczęścia do argumentów historycznych, powołanie się bowiem na ś. p. Koncentrację narodową z okresu drugiej Dumy, tak niefortunnie zakończoną, bardzo źle rekomendowałaby nową Koncentrację, gdyby miała być ona wskrzeszeniem tamtej.

To też po wydrukowaniu artykułu *Głosu Warszawskiego*, zarówno *Przegląd Poranny*, jak i *Nowa Gazeta* zaprotestowały przeciwko dopatrywaniu się nowej Koncentracji

w pojedyńczym wypadku współdziałania stronnictw w sprawie szkolnej.

I słusznie, nie ma bowiem żadnego powodu do wskrzeszenia Koncentracji starej, ani podstawy do tworzenia nowej, choćby niezorganizowanej.

Warunki zewnętrzne życia politycznego, bezwątpienia, zmieniły się i nie dziwię się zupełnie stronnictwu polityki realnej, które widzi potrzebę przystosowania się do tych warunków. Jest ono pod tym względem konsekwentne. Demokracja Narodowa, gdyby również liczyła się z tym, co mówiła dawniej, nie powinnaby tracić ducha pod wrażeniem pierwszego lepszego zawodu. Ale tu właśnie tkwi znamienny i stanowczy już zwrot w polityce sztabu głównego D. N., który oderwał od niego liczne jej odłamy i wytworzył tkliwą harmonję pomiędzy *Głosem Warszawskim* i *Słowem*. Zwrot ten jest tak znamienny, że nie wahaliśmy się w numerze poprzednim naszego pisma (U progu Dumy) stwierdzić, że D.N., jako programu, jako ideału społeczno-politycznego, właściwie już niema, i dlatego ta grupa, która popiera jeszcze Koło w Dumie, jest tak wrażliwą na najdrobniejsze zmiany zewnętrzne. Wyobraża ona interesa chwili i im poświęca, właściwie poświęciła już, swoje hasła, swoje zasady, swoją pryszłość.

Jest to tragicznym błędem D. N., że nie ma uporu, że dla chwili gotowa jest zawsze zaprzeć się samej siebie.

Według *Głosu Warszawskiego* „bieg życia realnego pozostawia zawsze na boku ideologów i doktrynerów. Ludzie, żyjący w świecie faktów i zjawisk realnych, muszą podążać za biegiem życia, aby nim, w miarę możności kierować". Zdanie, w zasadzie słuszne, ale treść jego zależy zupełnie od tego, co nazywa się życiem realnym i co znaczy podążanie za jego biegiem.

Życie realne — to tak samo interes tygodnia, jak i dziesięciolecia, chodzi tylko o to jak daleko i w co się patrzy. D. N., zdaje się widzi zbyt blisko, i to jest jej zgubą. Więcej nawet: widzi ona swoją zgubę i w koncentracji szuka ratunku, wskazując postępowcom, że warunki zewnętrzne wymagają jej dla dobra narodu.

Postępowcy wszakże, właśnie, jako tacy, poglądu tego podzielać nie mogą, i błędnie wnioskuje i *Słowo*, i *Głos Warszawski*, że zmienione warunki zewnętrzne powinny bezwarunkowo wpłynąć na zmianę taktyki, metody, czy środków działania postępowców o tyle, żeby możliwem było ich współdziałanie ze stronnictwami niedemokratycznymi i nie postępowymi. Taktyka, metoda, czy środki działania są ściśle zależne od programu stronnictwa, od ducha, który je ożywia, a ponieważ programy i duch stronnictw proponowanej Koncentracji jest różny, więc i taktyka ich rzadko bardzo zbiegać się może.

I dla tego ani zmienione warunki zewnętrzne, ani „życie realne" nie może służyć za podstawę Koncentracji.

Rzecz inna, że stronnictwa postępowe, przystosować się muszą również do warunków zewnętrznych, ale przystosują się one do nich inaczej, jak D. N. i przystosowane do nich stale stronnictwo polityki realnej, i dla tego nieraz zapewne postępowcom przyjdzie walczyć właśnie z ich taktyką, z metodą działania, ściśle związanymi z ich pragnieniami i kierunkiem.

Jeden wzgląd jeszcze przemawia przeciwko Koncentracjij ten mianowicie, że według słusznej uwagi *Nowej Gazety*, gdyby nawet obecne formacje stronnictw wytworzyły trwały akord polityczny, to okazało by się tylko, iż formacje te zgoła nie obejmują wszystkich przekonań społecznych.

Pomijam wszystkie argumenty, mniej zasadnicze, sądzę wszakże, że przytoczone powyżej wystarczają, aby uzasadnić powściągliwość, z jaką postępowcy traktować muszą zaszczytne zaproszenie do grona stronnictw „narodowych".

Ale pomimo to, z naciskiem powtórzyć muszę, że tam gdzie interes narodowy będzie zagrożony, a obrona jego wymagać będzie zjednoczenia wszystkich sił społecznych, tam postępowców nie zabraknie, jak niebrakło ich dotychczas.

R. P.

Klerykalizacja gabinetu austryjackiego.

Jesteśmy już tak przyzwyczajeni do wiecznych starć narodowościowych w Austrji, że na wiadomość o burdach, demonstracjach i t. d. ruszamy ramionami lub uśmiechamy się z politowaniem. Więc i tym razem byłyby rozruchy w Czechach i obstrukcja niemiecka w sejmie czeskim przeszły bez wrażenia, gdyby nie to, że były one bezpośrednią przyczyną do przesilenia ministerjalnego.

W parlamencie austryjackim ścierają się obecnie dwa prądy. Większość parlamentarna domaga się gabinetu parlamentarnego i to czysto parlamentarnego; teraźniejszy, w którym jest tylko sześciu parlamentarzystów a siedmiu urzędników nie wystarcza im. Mniejszość zaś złożona z wolnomyślnych Niemców boi się, że przy zmianie składu obecnego gabinetu, żądanej przez większość zwiększy się nietylko liczba ministrów anty-semickich ale i przedstawicieli stronnictw słowiańskich.

Chorobą parlamentaryzmu austryjackiego jest nie tylko wielka liczba stronnictw, ale także i frakcje na które rozpadają się poszczególne stronnictwa. Każda zaś z tych frakcji chciałaby mieć w gabinecie swego reprezentanta. Chcąc więc dogodzić wszystkim frakcjom trzebaby znowu zwiększyć liczbę ministrów, która i tak już za krótkich rządów barona Becka wzrosła do 13. Musiano też w parlamencie zwiększyć ilość foteli, a jeżeli prawdziwą jest pogłoska, jakoby miano wkrótce utworzyć nowe ministerstwo poczt i telegrafów to cały styl i symetrja foteli ministerjalnych znów popsuje się. Żadne ze stronnictw reprezentowa-

WŁADEK.

(Dokończenie)

Ojca w dzień nie widywał Władek wcale. Rano, kiedy z trudem podnosił ciężkie jeszcze od snu powieki, już go nie było w izbie. Wracał późno wieczorem, chwiejnym krokiem, zataczając się i bełkocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Matka wtedy klęła, groziła zaciśniętymi pięściami przed oczami ojca... A potym, załamując ręce, osuwała się na łóżko i łkała cicho długo, długo w noc...

Pamięta Władek, jak którejś nocy zerwał się z posłania, obudzony przeraźliwym krzykiem. Otworzył szeroko oczy i zobaczył ojca w podartym, zabłoconym ubraniu, z twarzą pokrwawioną, brudną. Widział, jak ojciec trzymał jedną ręką za włosy matkę, drugą podniósł do góry stołek... Słyszał potym bolesny, przytłumiony jęk i przeraźliwy syk przekleństw, przeciskających się przez wyszczerzone zęby ojca.

I pamięta jeszcze jak tejsamej nocy potężna ręka porwała go z łóżka i cisnęła w kąt izby; jak uderzył swoją wielką głową o kant balji; jak mu coś dziwnie przesłoniło mgłą oczy... I potym nic już nie czuł—nic nie słyszał...

Kiedy skończył sześć lat, powiesiła mu matka na szyi drewnianą skrzynkę z zapałkami, tę samą, którą ma dzisiaj jeszcze; przeżegnała go, pocałowała w czoło — i wtedy pierwszy raz znalazł się na rynku i pierwszy raz zaczął wykrzykiwać:

— Zapałek! Zapałeeek! Dwa pudełka za centa!

Odtąd codzień rano po śniadaniu wychodził z domu i wracał dopiero w nocy.

Poznał na rynku innych malców—zapałkarzy, z którymi zaprzyjaźnił się wkrótce, od których nauczył się zaczepiać natrętnie przechodniów, palić papierosy, jeść cukierki, wywracać przed „frajerami" kozły. Dziś przeszedł już wszystkich swoich rówieśników-nauczycieli; dziś jest już „szczęśliwą juchą"...

Dwa lata temu jakiś pan kupił od niego pudełko zapałek, dał mu nową błyszczącą pięciocentówkę i zaprowadził do jakiegoś domu, na którym wisiała wielka czarna tablica, zalepiona płachtami drukowanego papieru. Władek wszedł za panem do dużego pokoju, w którym pełno było stolików, krzeseł. Jacyś panowie siedzieli pochyleni, pisali coś, mówili. Potym dostał Władek paczkę drukowanego papieru, takiego samego, jaki był nalepiony na tablicy. Dowiedział się, że papier taki nazywa się: *gazeta*, i że ma sprzedać paczkę, którą dostał, na ulicy, w restauracjach — gdziekolwiek. A pieniądze ma przynieść do tego pokoju— dostanie za to dwie „szóstki".

Potym co wieczór sam przychodził po gazety; zorjentował się prędko, gdzie i komu najłatwiej jest sprzedać je. Stał się codziennym gościem wszystkich różnorzędnych knajp tej dzielnicy; stał się ogólnie znanym „Władkiem-gazeciarzem".

Od rana do wieczora na rynku z zapałkami; od wieczora do późnej nieraz nocy z gazetami — takim było od dwuch lat życie Władka.

. . . .

Zegar na wieży kościelnej na rynku wydzwaniał godzinę. Wolno i majestatycznie płynęły nad miastem miarowe uderzenia. Dziesięć ich naliczył Władek, wchodząc w bramę domu, którego okna na pierwszym piętrze oświetlone były rzęsiście. Tam, w tej kawiarni na górze, nie był jeszcze dzisiaj. A nuż uda mu się sprzedać resztę gazet, których sporą paczkę trzymał pod pachą.

Dzisiejszego wieczora jakoś nie sprzyjało mu szczęście. Obszedł w zwykłej kolei wszystkie „swoje" restauracje, wszystkie kawiarnie—i pomimo to zostało mu jeszcze kilkanaście numerów. Tu, w tej kawiarni na pierwszym piętrze, nie mógł liczyć na pewny zbyt; tu goście głównie tylko piją,

nych dotychczas w gabinecie nie chce zmniejszyć ich liczby a antysemici i Czesi żądają nawet jej zwiększenia. Antysemici twierdzą, że według ilości ich w parlamencie należały by się im cztery teki, gotowi są jednak zadowolić się tą samą liczbą jaką mają liberali, a więc trzema; Czesi mają dwa miejsca w gabinecie, lecz ponieważ jest ich o trzydziestu więcej jak Polaków, chcę mieć także o jednego ministra więcej. Oprócz tego wylaniają się nieśmiale dotychczas pretensje południowych Słowian i Rusinów. Zwiększy się więc prawdopodobnie liczba ministrów, ale też zmniejszyć trzeba będzie pretensje do ich kwalifikacji. Talentów w parlamencie jest bardzo nie wiele, a jeżeli przyjdzie do wymiany, to z pewnością wyjdzie ona na gorsze.

Największa walka toczy się o ministerstwa dla antysemitów. Mają oni dotychczas tekę robót publicznych i tekę rolnictwa. Jako trzeciej żądają ministerstwa oświaty i wyznań a kandydatem ich jest znany klerykał książę Lichtenstein. Jeżeli by ministerstwo to rzeczywiście przeszło w jego ręce,klerykalizacja szkół i pozbawienie uniwersytetów swobody byłoby rzeczą nieuniknioną. Wie o tym baron Beck i nie wątpi, że nominacja ta wywołała by burzę któraby cały jego gabinet zniweczyła. Skłonił więc antysemitów do rezygnacji z tej teki w zamian za którą żądają oni najbardziej wpływowego ministerstwa skarbu, którym teraz kieruje pan Korytowski.

Niema dotychczas we Wiedniu kierowników Koła polskiego, nie wątpimy jednak że zaprotestuje ono żywo przeciw tej kombinacji. Pono dla załagodzenia sprawy mają dostać Polacy ministerstwo kolei. Na tym tle mają się jeszcze toczyć dalsze rokowania.

Bez względu na to jakie stronnictwa i w jakiej sile wejdą do gabinetu, nastąpi wielkie przesunięcie sił w kierunku antysemicko klerykalnym. Z dwuch mandatów będących dziś w rękach czeskich jeden niechybnie dostanie się posłowi Hrubanowi znanemu klerykałowi; również jeden z portfeli niemieckich ma przejść w ręce klerykalnego członka izby panów. Klerykalizacja rządu odbędzie się tym szybciej i łatwiej ile że stronnictwa zapatrują się na reorganizację gabinetu li tylko ze stanowiska narodowego. Niemcy np. baczą przedewszystkiem na to żeby nie było w gabinecie więcej niż trzech Czechów i nie więcej niż dwuch Polaków. Obojętnym im przy tym jest czy ci Polacy i Czesi są klerykalni lub też postępowi.

W bliskiej jednak przyszłości, jak przewidzieć można, w parlamencie ponad antagonizmy narodowe zbudzi się nowy i silniejszy antagonizm stronnictw postępowych i klerykalnych, a raczej ze względu na topniejącą liczbę liberałów niemieckich — przyjdzie do bezpośredniego starcia olbrzymiej klerykalno-konserwatywnej większości i socjalistów.

Interim.

Żydzi a polskość.*)

Ostatnimi czasy dają się w Polsce coraz częściej słyszeć głosy w kwestji żydowskiej nie nacechowane ani ślepą nienawiścią, ani też ślepą miłością dla Żydów, lecz z możliwym objektywizmem rzecz ujmujące. To już jest objaw wielce pocieszający; znak, że rodzi się szczera chęć wniknięcia w istotę samej kwestji; że wieloletnie doświadczenie nauczyło wreszcie, iż tak antysemityzm jak i filosemityzm nie mogą być punktem wyjścia dla zbadania i posunięcia naprzód tej bolesnej i tak poważnej sprawy,—ze w dążeniu do jej rozwiązania kierujemy się obopólnym dobrem zarówno dla Żydów jak i dla narodu polskiego. To stanowisko obopólnego dobra jest jedynym rozumnym założeniem. I nie tylko ze względów etycznych i humanitarnych, każących się kierować zasadą wzajemnej tolerancji, lecz także i nadewszystko ze względu na konkretną, obustronną korzyść wynikającą ze współdziałania było rzucone u nas niejednokrotnie to hasło, lecz nie uczyniono nic na tej drodze z łatwo zrozumiałych powodów: bezwzględnym warunkiem owocnej pracy dla wspólnego dobra jest przedewszystkiem szczere, całkiem wyraźne wypowiedzenie się obu stron, a raczej tych odłamów stron, które pragną współdziałać. Wszelkie niedomówienia, wszelka nieśmiałość sądu —(dająca się odczuć przeważnie, i to z żalem stwierdzam — wśród Żydów-asymilatorów), wszelka nieszczerość jest tu fatalną zaporą na drodze do wzajemnego zrozumienia się.

Aczkolwiek wiem, że to co tu powiem będzie w mniemaniu konserwatywnego odłamu Żydów gorszącym, a według asymilatorskiej inteligiencji żydowskiej, przyzwyczajonej do wypowiadania swych poglądów półgłębkiem — tak, żeby i mas żydowskich nie zrazić i ogółowi polskiemu się przypodobać, — wyda się niebezpiecznym, to jednak głębokie przekonanie, że należy stawiać kwestję jasno, wyraźnie i szczerze, każe mi mi spojrzeć prawdzie prosto w oczy i zapomnieć o zgubnej zasadzie „panu Bogu świeczkę i djablu ogarek".

Jest jedna strona kwestji żydowskiej stale i metodycznie omijana, choć według mnie stanowi rdzeń sprawy, omijanie to jest w najwyższym stopniu charakterystyczne, gdyż samo jej poruszenie z konieczności rzeczy wymaga niedwuznacznego jej rozstrzygnięcia, a na to dysputujący decydować się nie chcą, czy nie potrafią.

Poza wszystkim,co w ciągu stuleci wzrosło murem między Żydami a polskim społeczeństwem, jedną z przyczyn jest bezsprzecznie najsilniejszą: masy żydowskie stanowią jedną wielką sektę religijną; religja żydowska tem się zasadniczo różni od innych religji, że jest ona nie tylko systematem wierzeń i dogmatów, lecz także systematem przepisów życiowych i obyczajów, a nadewszystko jest pancerzem narodowości. Religja Żydów zawiera już w sobie wszelkie aspiracje narodowe, a ideał narodowy—odrodzenie i powrót do Palestyny jest ideałem religijnym. Prawowierne masy żydowskie uważają za całkiem obcego sobie tego Żyda, który wyzwolił się z żydowskich przesądów i obyczajów religijnych.

Prawowierny, religijny Żyd nie może żyć uczuciami i aspiracjami narodu, wśród którego przebywa choćby od setek lat, gdyż jego nawskroś ekskluzywistyczna religja stanowi zarówno w swej istocie, jak i w szczegółach jedyny w swoim rodzaju światopogląd narodo-

*) Redakcja daje głos p. Wasercugowi, jakkolwiek nie dzieli niektórych jego poglądów, zwłaszcza jakoby prawdziwą, istotną pracą asymilatorską była walka z religją żydowską.

---

nie zwracając uwagi na „gazeciarza". Ale może dzisiaj się uda... Spróbuje.

Zresztą Władek chciał także odpocząć trochę. Zmęczyło go to bezustanne chodzenie. Całe popołudnie padał deszcz, ciepły wprawdzie, wiosenny deszcz, ale przemoczył mu zupełnie ubranie, które teraz przystawało do ciała i przy najlżejszym podmuchu wiatru sprawiało wrażenie chłodnego, przejmującego dreszczem okładu.

Numery gazet pod pachą—choć owinięte w gruby papier—zwilgotniały mocno i przylegały szczelnie jeden do drugiego. Żeby tak sprzedać tę resztę, uwolnić się od paczki i móc swobodnie pójść na noc do domu!

Postał Władek chwilę w bramie, wypatrując, czy gdzie na ulicy nie zarysuje się w słabym świetle latarni sylwetka jakiego „frajera", którego możnaby *nabrać*. Pusto było. Tylko gdzieniegdzie przemknęła postać zapóźnionego przechodnia z podniesionym kołnierzem, pod parasolem.

— Żebym to ja, psia nędza, miał parasol! Cóżby wtedy znaczył dla mnie ten deszcz! Szedłbym sobie przez rynek, jak pan jaki!

Strzyknął śliną przez zęby i wolno zaczął wchodzić na górę po schodach, kołysząc się na kabłąkowatych nogach.

Otworzył drzwi od kawiarni — i nagle owiało go dziwnie przyjemne ciepło. Tyle światła! Wysoko, pod sufitem, kołyszą się, falując płynnie, gęste obłoki dymu tytuniowego... Kapela pod ścianą gra jakiegoś siarczystego mazura... kelnerzy biegają z kuflami, pełnymi piwa, z kieliszkami na tackach... goście siedzą przy stolikach, rozmawiają wesoło... niektórzy śpiewają na cały głos w takt muzyki... Jak tu wesoło! Jak tu dobrze!

Władek w pierwszej chwili zapomniał, poco właściwie tu przyszedł. Stanął pod drzwiami, patrząc bezmyślnie przed siebie. Wiedział tylko, że mu jest ciepło, że deszcz nie pada i nie moczy mu ubrania, że jest jasno w pokoju, wesoło i dobrze. Dopiero szturchaniec, jaki poczuł pod bokiem, wymierzony mu przez *ober kelnera*, wyrwał go z tego chwilowego odrętwienia.

— Czego stoisz, głupi! Sprzedawaj swoje gazety i wynoś się za drzwi! Jeszcze takiego gościa pewnie nam brakowało! Kosławiec!

I zaraz potym z tych samych ust popłynęło pełne uprzejmości i uniżenia, przeciągłe: „padam do nóżek", skierowane w stronę wchodzącego gościa.

Władek oprzytomniał w jednej chwili. Zaczął się orjentować, przy którym stoliku liczyć może na pewne powodzenie; od tego stolika zacznie. Kupi ktoś pierwszy gazetę—pójdą za jego przykładem inni. Już miał podchodzić do okna, gdzie siedział starszy, porządnie ubrany pan, gdy w tym posłyszał wołanie.

— Mały! mały! gazeciarz! Chodź no tu do nas!

Obejrzał się. Przy dużym okrągłym stole siedziało sześciu młodych ludzi. Rozprawiali coś głośno i wesoło. Spora liczba pustych butelek, różnej wielkości i formy, poustawianych, częścią poprzewracanych na stole, świadczyła, że ludzie ci siedzieli tu od dość dawna. Podszedł do nich Władek z niezgrabnym ukłonem.

— Gazetka wieczorowa dzisiejsza...

— Et, co tam gazetka! Do djabła ze wszystkimi gazetkami!

— Czego ty się włóczysz mały po nocach? Spać, spać do domu! — moralizatorskim tonem, na pół mówiąc na pół bełkocząc niewyraźnie, odezwał się jeden z młodych ludzi.

— Daj mu kieliszek wina! Jak Boga kocham, daj mu kieliszek wina! — przekładał drugi.

— Nie darmo! — dowodził inny: wywróć no, mały, kozła—to dostaniesz wina! Przecież to ty zawsze popisujesz się swymi kozłami na rynku. No jazda!

Władek posłusznie, położywszy na stole niesprzedane gazety, stanął „dęba".

— Brawo! Brawo! Jeszcze go raz! Dostaniesz drugi kieliszek!

I znowu Władek powtórzył popis.

— A możeby tak *wstawić* małego! Toby była ciekawa szopa! Jak Boga kocham! Pij, akrobato! Jak się nauczysz za młodu, przyzwyczaisz się do błogosławionego nek-

wy[1]). Znamy przykłady wielkiego przywiązania religijnych Żydów do miejsca urodzenia, tych wsi i miasteczek, w których żyją i handlują, lecz to uczucie przywiązania, a może raczej przywyknięcia do danego miejsca, nie ma i nie może mieć nic wspólnego z miłowaniem kraju, ojczyzny lub choćby tylko ze świadomością narodową, z poczuciem polskości. Bo polskość jak i szczere, silne poczucie jakiejkolwiek innej narodowości jest niewspółmierne z religijnymi uczuciami prawowiernych Żydów. Ich marzenia, aspiracje, nadzieje zwrócone są nie ku przyszłości narodu wśród którego przebywają, lecz ku odrodzeniu „ludu Izraela”, ku religijnym cudom, które owo odrodzenie sprowadzą.

To jest jasne. Więc czemże jest w takim razie dotychczasowa praca asymilatorska? I czy można ją szczerze, niedwuznacznie prowadzić, nie dotykając religji żydowskiej, tak, jak się to dotąd działo? Czy można przystąpić do żydowskiego ludu z oświatą (bo o to przecież chodzi przedewszystkiem), nie utorowawszy wprzódy drogi do pracy oświatowej, czyli niewypleniwszy wszystkich tych chwastów ciemnoty, które były i są z taką pieczołowitością pielęgnowane przez wszystkie „instytucje” żydowskie począwszy od gmin a skończywszy na chederach? I cóż znaczyć może wszelka praca t. zw. uobywatelniania Żyda, dopóki nie zdejmie on chałatu, by zakryć nim raz nazawsze Talmud? Nie można dłużej pozostawać w błędnym kole: pragnąć asymilacji, ucywilizowania mas żydowskich a jednocześnie nie dotykać najsilniejszej ostoi ciemnoty, jaką jest judaizm.

Z faktu niewspółmierności religji Żydów i uczuć narodu, wśród którego przebywają, należy wyprowadzić bezpośredni wniosek, prawdziwą istotną pracą asymilatorską jest praca wolnomyślna wśród Żydów i walka z ich religijno-narodowym światopoglądem. Naiwni Żydzi mogą powiedzieć: to chyba znaczy — przechodzić na katolicyzm, religję większości, a cały prawicowy odłam Polski przyklaśnie tej myśli. Na szczęście dziś już wszystkie żywioły postępowe odróżniają pojęcia „polskość” i „katolicyzm” i rozumieją cały międzynarodowy charakter tego ostatniego. Nie chodzi o chrzest, który, jak to wszyscy wiemy, jest prawie zawsze praktycznym interesem, lecz o wyzwolenie Żyda z przesądów religijnych, bo wyzwolenie to jest absolutnym warunkiem asymilacji.

Nie zapomnę nigdy słów wybitnego narodowca żydowskiego i nowelisty p. L. Pereca: kiedy przeszło rok temu urządzono w Warszawie wielką konferencję w kwestji żydowskiej, przed wystąpieniem rzekł do mnie p. Perec: „w panu to mamy przeciwnika”. Odrzekłem: „Jedno nas łączy, pan kocha Żydów i ja także”. Na to otrzymałem znamienną odpowiedź: „pan kocha Żydów, a ja kocham żydowstwo”. O to chodzi! Żydowstwo, czyli wszystko, co żydowskie— pojęcia, choćby przedpotopowe, obyczaje choćby barbarzyńskie, religja. choćby była murem między Żydami a wszechświatową kulturą.

Historja podzieliła Żydów na dwa światy: świat ghetta i świat współczesnej kultury. Pierwszy żyje na całym obszarze kuli ziemskiej jednakowym, nędznym materjalnie i duchowo życiem; drugi — życiem i uczuciami narodu, wśród którego przebywa. Co w stosunku do Polski znaczy: pierwszemu jest obcą i właśnie przez to częstokroć wrogą, polska kultura, obcym jest polskie życie i dążenia; dla drugiego Polska jest ojczyzną, a sprawy jej jego sprawami, bez względu na to, co większość społeczeństwa sądzi o polskości tych Żydów, gdyż o tym decydują ich własne uczucia. Świat pośredni, burżuazja żydowska, to w znacznej części żywioł, wyzuty ze wszelkiej społecznej i narodowej świadomości.

Więc trzeba umieć stwierdzić fakt: dopóty nie może być mowy o prawdziwej asymilacji, dopóki masy żydowskie trwać będą w stęchliźnie swoich wierzeń i przesądów religijnych, wobec których, jak całkiem słusznie powiedział Daniłowski, „niczem są polskie zabobony ludowe, a okrzyczana wyznaniowa szkoła polska zasługuje na miano wzorowej w porównaniu z średniowiecznym systemem chederów”. Trzeba ten mur przesądów burzyć choćby cegiełkę po cegiełce. Dla obopólnego dobra: Żydzi przystosują się do wymagań współczesnej kultury i cywilizacji, a Polska zdobędzie liczne zastępy światłych obywateli.

Józef Wasercug.

---

[1]) Słusznie napisał w swoim czasie p. Edward Dutlinger (w art. „Judaizm przyszłości” „Myśl Niepodległa“ Nr. 63): „Nie można być Polakiem i wołać w dzień sądny „Na przyszły rok w Jerozolimie“, mieć „narodowy“ kalendarz, „narodowe święta historyczne Purym, Pesach lub Chanuka“. Lecz tę kardynalną sprzeczność między polskością a judaizmem p. D. rozwiązuje w bardzo nieudatny sposób: proponuje założyć jakąś „nową grupę Polaków mojżeszowego wyznania“ a judaizm tak zreformować, by stał się „wiarą w Boga-Naturę, wiarą w konieczność doskonalenia się jednostki w każdym kierunku na podstawach ściśle etycznych“... Wiara w Boga-Naturą? To może filozoficzny współczesny monizm? Więc stowarzyszenia monistów, czy inne zrzeszenie filozoficzne? Doskonale, lecz takie zrzeszenie nie może być przecież gminą, a powtóre nie ma nic wspólnego z poczuciem narodowości. Dalej „doskonalenie się jednostki“ i t. d. To już literalnie nic nie mówi. A jeżeli chodzi o etykę, to obchodzi się ona bez religji, choćby zreformowanej. Wreszcie czytamy: „przyszły judaizm—to dążenie ciągłe do poznania tajemnic wszechnatury przy pomocy nauki, to rozwój, krytycyzm i ich stosowanie dla dobra wszechludzi (?) i wszechbytu i dla dopięcia wszechwiedzy (!)“ No nie, nie!... Dążeniem do poznania tajemnic wszechnatury jest poprostu rozwój nauk przyrodniczych, który nie potrzebuje nowych gmin religijnych „przyszłego judaizmu“, natomiast potrzebuje więcej uniwersytetów i szkół. Może zresztą chodzi p. D. o zwykłą zreformowaną synagogę na wzór założonej w New-Jorku, oraz przez d-ra Levy'ego w Paryżu (patrz d-r L. G. Levy— Une religion rationnelle et laique, Paris 1908). Stanowią one do pewnego stopnia postęp; są bardziej nowoczesne; usunięto tam niektóre barbarzyńskie pojęcia, ale ani z „poznawaniem tajemnic natury“, ani wogóle z nauką nie mają nic wspólnego. A już „polszczenie imion i nazwisk“, o czym już od dłuższego czasu mówi p. D., nic a nic nie pomoże. Wszystko jedno: Dutlinger czy Dutlinglerowski!..

Indje nowożytne.

Jednym z objawów wysoce charakterystycznych dla współczesnego życia politycznego jest odrodzenie Azji. Już od szeregu lat można było zaobserwować pewne oznaki, każące przypuszczać, iż pod pozorną powłoką zastoju i ciszy odbywa się głęboka ewolucja, brzemienna w niesłychanie doniosłe skutki. Lecz dopiero huk dział

---

raru — to potym na starość jak znalazł: niełatwo cię będzie zerżnąć z nóg! pij!

Władek wychylił kilka kieliszków pod rząd. Dobre było wino. Takie słodkie i tak przyjemnie, ciepłą falą rozpływało się po całym ciele.

— Bo proszę was—w życiu trzeba przyzwyczaić się do wszystkiego. Licho wie, jaki tam los czeka człowieka chociażby niedalej, jak jutro! Jutro, to znaczy za... (spojrzał na zegarek) to znaczy za godzinę— bo już jest jedenasta — może trzeba będzie zdychać gdzieś pod płotem. *Ergo... Ergo*: trzeba przyzwyczajać siebie i innych do wszystkiego... Absolutnie do wszystkiego:.. I jeszcze jedno, ostateczne *ergo*: pij, mały akrobato, bo licho wie, co się z tobą stanie jutro!

Takie „logiczne” wnioskowanie przyjęte zostało przez grono młodych ludzi oklaskami.

— Dobrze mówi! Pij, mały!

— Kelner! Jeszcze butelkę! Nie! Jeszcze dwie... Nie! Jeszcze trzy butelki!...

— Pij! Wszystko jedno!

— Raz się żyje!

— Za zdrowie małego gazeciarza!

— Niech żyje... wszystko... jedno...

Władkowi nagle zrobiło się ogromnie wesoło. Tacy dobrzy ludzie. Przygarnęli go do siebie, rozmawiają z nim, dają mu wino...

— Panie! A dostanę papierosika? Prawda?

— Cygaro nawet! Kelner! — cygara!

Władkowi aż się oczy zaśmiały z radości, kiedy brał do ręki cygaro. Przecie to było jego marzenie: zapalić sobie takie duże, takie całe cygaro — nie jakiś tam ogryzek, znaleziony w błocie na ulicy.

Ale zaledwo pociągnął raz całą piersią— zakręciło mu się w głowie, pociemniało w oczach, coś go ścisnęło za gardło. Nie mógł więcej palić. Chciał podnieść do ust kieliszek, ale wypadł mu z drżącej ręki na ziemię i rozbił się w kawałki.

— Wstawił się! Wstawił się! Jak Boga kocham!

— Ha! ha! ha! ha!

— Wstawiony gazeciarz-akrobata!

Władek czuł, jak mu się osuwają przeraźliwie ciężkie powieki, jak głowa chyli się bezwładnie na piersi. Pokój cały zaczyna się kręcić wkoło coraz prędzej.. coraz prędzej... Muzyka ciągle gra... Jakiś krzyk... wrzawa... zamęt... Słyszy dźwięk tłuczonego szkła... Ktoś wymyśla... Woła na cały głos: „Zapałek!... Zapałeeeek! Gazetka wieczorowa!... Gazeeeeet”...

Osunął się bezwładnie pod stół...

. . . .

Było już daleko po północy, kiedy przez rynek wracał do domu ojciec Władka.

Szedł niepewnym krokiem, nogi plątały mu się bezładnie; rozprawiał coś półgłosem, wymachując szeroko rękami. Czasami przystawał, spoglądał w górę na zachmurzone niebo i klął scicha.

— Pada i pada... — mruczał pod nosem: wszystko pozamykane... Porządny człowiek niema gdzie się schować... To ci dopiero psi los!...

Kiedy przechodził koło domu, w którym mieściła się na pierwszym piętrze zamknięta już kawiarnia, zawadził o coś nogą. Potknął się.

— Cóż u licha na drodze leży!...

Zamglonym wzrokiem nie rozróżnił przeszkody; nie poznał kabłąkowatych nóg i wielkiej głowy pijanego Władka, który twardo spał, leżąc pod domem na chodniku ulicznym. Obok widniały rozsypane, powalane błotem numery niesprzedanej gazety.

— Spiła się jakaś jucha! Psiaaaa!...

I — kołysząc się w różne strony — szedł dalej...

Zygmunt Michałowski.

japońskich, olbrzymim echem rozlegając się po nieskończonych obszarach Azji, obudził ją ostatecznie z wiekowego snu. I właśnie jednym z krajów azjatyckich, w których ten proces dziejowy odnowienia zachodzi na wielką skalę, są Indje angielskie.

Wielu wydaje się, iż Indje — to zwyczajna kolonja europejska, w której garść Anglików siłą oręża utrzymuje swoje panowanie nad wielomiljonowymi rzeszami Azjatów, pogrążonych w stanie barbarzyństwa i ciemnoty. Jeżeli mniemanie to mogło mieć kiedyś pewną podstawę, to dzisiaj nie odpowiada ono zupełnie rzeczywistości.

Indje, ów kraj otoczony urokiem tajemniczości i fantastyczności, rozciągają się na olbrzymiej przestrzeni od stóp niebotycznych Himalajów aż do oceanu Indyjskiego, obejmując 1,8 mil ona mil kw. ang. Na przestrzeni tej, zawierającej wszelkie możliwe warunki gieograficzne i klimatyczne, od wiecznym śniegiem pokrytych Himalajów do spiekłych od żaru równin Dekanu, od dzikich i nieprzebytych dżungli Bengalu do posępnych pustyni Radżuputany, skupiła się przeszło 300-miljonowa ludność, przedstawiająca niesłychaną pstrokaciznę wyznań, ras, języków i narodowości. Rządzona jest ona częściowo przez przeszło 800 własnych „radżów i maharadżów" pod kontrolą angielskich rezydentów, częściowo zaś bezpośrednio przez Anglików. Naczelne rządy spoczywają w ręku wicekróla Indji, naznaczonego przez koronę angielską i posiadającego olbrzymią władzę noszącą charakter wybitnie absolutystyczny. Zasadniczym zajęciem ludności jest rolnictwo, któremu się oddaje przeszło $^2/_3$ mieszkańców, aczkolwiek ostatnimi czasy coraz bardziej się uwidocznia rozwój handlu i przemysłu oraz nowożytnych środków komunikacji, które zmieniają nie do poznania wszystkie warunki życia indyjskiego w duchu zachodnio-europejskim. Ażeby zrozumieć lepiej ewolucję Indji współczesnych, rozejrzyjmy się nieco w ich dziejach. Dzieje Indji — jest to nieprzerwane pasmo najazdów, poczynając od zamierzchłych czasów starożytności aż do doby obecnej. Lecz dopiero podbój Indji przez Anglję zdołał zrealizować to, czego nie byli w stanie dokonać jej poprzednicy i rywale, mianowicie wytworzyć jedno wielkie mocarstwo na gruzach setek drobnych państewek, zorganizowane na wzór europejski. Rzecz oczywista, iż olbrzymie to dzieło zostało przeprowadzone nie ze względów cywilizacyjnych lub humanitarnych, lecz wyłącznie w interesie panowania Anglji nad tym bogatym i rozległym krajem. I co jest jeszcze bardziej charakterystyczne, iż wykonanie jego zostało powierzone kompanji handlowej (East India Company), która w ten sposób stworzyła jedyne bodaj w dziejach świata *prywatne państwo*, rządzone przez akcjonarjuszy, co prawda, pod kontrolą parlamentu angielskiego. Lecz kompanja ta, mając na oku tylko interesy własnej kieszeni i nadomiar brutalnie depcząc zwyczaje i wierzenia krajowców, doprowadziła do strasznego powstania Sypajów w 1857, które, chociaż stłumione przez Anglików, pociągnęło atoli za sobą upadek kompanji i przejście Indji pod bezpośrednią władzę korony angielskiej. W ten sposób zakończył się pierwszy okres panowania angielskiego, okres despotycznego absolutyzmu, w którym jednak urobiły się podwaliny obecnej organizacji państwowej w Indjach i powstały ich wielkie ogniska kulturalne i polityczne: Kalkuta, Madras i Bombaj.

Drugi okres rozwoju dziejowego Indji może być ochrzczony mianem oświeconego absolutyzmu, gdyż tutaj rola cywilizacyjna rządu angielskiego ujawnia się w całej pełni. Wychować setki miljonów Azjatów w duchu państwowości angielskiej, wprowadzić ich w tryb współczesnego życia europejskiego, wciągnąć w wir wszechświatowej wymiany produkcji i kultury, jednym słowem uprzemysłowić, skapitalizować i zorganizować Indje, jako wielką potęgę polityczną w Azji, oto zadanie, które wynikało z praktycznych potrzeb kapitalizmu angielskiego i które zostało dokonane przez Anglję.

Indje są nieograniczonym polem zbytu produkc i angielskiej i nadmiaru kapitałów, szukających lokaty. Rosnąca sieć środków komunikacji, rozwój żeglugi, handlu i przemysłu indyjskiego, już pochłonął miljardy kapitałów angielskich (dług indyjski urósł w ostatnim 10-leciu z 2-ch do $2^1/_2$ miljarda rubli). Aby doprowadzić dzieło do końca, trzeba potężnej ręki, któraby potrafiła utrzymać pokój, bezpieczeństwo i porządek w Indjach, któraby *pax britannica* uczyniła podstawą ich życia publicznego. To też budżet indyjski jest olbrzymi (urósł od 62 miljonów f. st. do 85 mil. w ostatnim dziesięcioleciu) i wydatki na wojsko (16 miljonów — 20 miljonów w tym samym czasie) oraz koleje żelazne (15 mil. — 22 mil.) najszybciej się zwiększają i najważniejszą rolę w nim odgrywają. Lecz aby koleje mogły całkowitą korzyść przynieść, aby armję i urzędników angielskich utrzymać, trzeba było rozwinąć siły produkcyjne kraju. [1]) Ten fakt pociągnął za sobą inny. Rząd anglo-indyjski, burząc podstawy dawnego ustroju społeczno-politycznego i budując przy pomocy kapitałów angielskich Indje nowożytne, stał się *rządem wewnętrznym i nieodzownym Indji*. Rozwijając rolnictwo przy pomocy kosztownej irygacji, zaszczepiając hodowlę roślin technicznych, popierając wywóz wytworów indyjskich na rynek wszechświatowy, wytwarzając jednolity obszar pod względem prawno-politycznym i ekonomicznym, pomimo istnienia kilkuset państewek miejscowych, wreszcie, last not least, zaprowadzając nowożytne sądownictwo, samorząd miejscowy, oświatę europejską[2]) oraz wolności obywatelskie — rząd anglo-indyjski stał się czynnikiem, regulującym wewnętrzne życie Indji, wyrazicielem ich jedności politycznej i ekonomicznej. I to jest właśnie podstawa potęgi angielskiej w Indjach, tajemnica panowania garści Europejczyków nad rzeszami Azjatów.

Lecz o ile rząd angielski z istoty swej jest niezbędny, o tyle co do formy zaczyna się przeżywać. I na tym polega kwestja indyjska. System oświeconego absolutyzmu, odpowiadający do pewnego momentu potrzebom politycznym, ekonomicznym i kulturalnym, staje się zawadą, kiedy ten moment nadchodzi. Nadomiar w warunkach, w jakich się rozwijają posiadłości angielskie, moment ten ulega ogromnemu przyspieszeniu, ponieważ wraz z panowaniem Anglji przenikają w kraje przez nią zdobyte jej ideały kulturalne i zasady polityczne, którymi się ona rządzi. Otóż w Indjach równolegle z rozwojem przemysłu i kolei żelaznych powstała nowożytna klasa robotnicza, ciążąca do międzynarodowej armji pracy i manifestująca swoje istnienie nawet strajkami kolejowymi; z drugiej strony postęp oświaty, szczególnie wyższej wytwarza liczne zastępy inteligiencji krajowej, wychowanej w duchu kultury angielskiej. Co prawda ogólne wolności obywatelskie—czasami zawieszane — istnieją w Indjach, lecz nie będąc uwieńczone przez parlament ogólno-indyjski i instytucje samorządu krajowego, są one dopiero surogatem życia politycznego. Wskutek tego tendencje autonomiczne musiały z konieczności rozwinąć się w Indjach, czego świadkiem jest zarówno prasa indyjska, jak i zjazdy doroczne wybitnych przedstawicieli kultury, nauki i polityki, noszące charakterystyczną nazwę *samowolnego parlamentu indyjskiego*. Lecz co jest bodaj najciekawsze, to, iż obrady tych kongresów toczą się w języku angielskim, który jest jedynie znany wszystkim działaczom indyjskim najrozmaitszych języków i narodowości.

Lecz w tym fakcie kryje się nietylko to, iż zjednoczenie tych narodowości było dziełem Anglji, lecz i konieczność jej panowania, gdyż w przeciwnym razie i jedność Indji by runęła i inteligiencja indyjska padłaby pastwą fanatyzmu religijnego, nienawidzącego obyczajów i poglądów europejskich. Z drugiej strony na Indjach trzyma się wszechświatowa potęga wielkobrytańskiego imperjalizmu, która uczyniła je centrum swoich planów i zamiarów i dla zachowania ich Anglja zawsze była gotowa postawić wszystko na kartę. Lecz z tego wynika, iż tylko nadanie Indjom całkowitej autonomji prawno-politycznej, nie zaś półśrodki w rodzaju wprowadzenia krajowców do rady prawodawczej przy wicekrólu, może utrwalić panowanie angielskie w Indjach, a przez to wzmocnić znaczenie i wielkość Anglji. Niezadośćuczynienie tłumnym i koniecznym żądaniom Indji może doprowadzić tylko do silnego kryzysu politycznego, (a właściwie już doprowadziło, o czem najlepiej świadczą wiadomości nadchodzące stamtąd od czasu do czasu o zaburzeniach, zamachach i t. p.) i wystawić na szwank potęgę Anglji. Indje wyrosły już z powijaków „ojcowskiej opieki" i przykład innych krajów azjatyckich (Japonji, Persji, Turcji) może na nie podniecająco podziałać. Anglja stworzyła Indje nowożytne—Anglja musi im dać i nowożytny ustrój prawno-polityczny: autonomję.

Juljan Unszlicht.

[1]) Kilka cyfr, zaczerpniętych z „Statistical Abstract relatie to British India" mogą to wyjaśnić. Rozwój w okresie 1896 — 1906: urzędów pocztowych: 11 tys. — 16 tys., linji telegraficznych: 46 tys. m. ang. — 64 tys. m. ang.; kolei: 20 tys. m. ang. — 30 tys. m. ang.; fabryk pod inspekcją pań.: 916 — 1,545; robotników: 400 tys. — 600 tys.; prod. węgla: 4 miljony ton. — 10 mil. ton.; obszar irygowany: 30 miljonów akrów — 35 mil. akrów; kap. tow. akcyjnego: 20. mil. funt. st. — 27 mil. funt. st.; wwóz przez 5 gr. portów: 47 miljonów funt. st. — 68 mil. funt st.; wywóz: 68 mil. funt. st. — 107 mil. funt. st.

[2]) Rozwój oświaty w okresie 1896—1906 (tamże): Ilość kolegjów 161 — 185; ilość studentów 20 tys. — 25 tys.; ilość śr. szkół 530 tys. — 690 tys.; wydatki na oświatę 2,3 miljona funt. st. — 3,5 mil. funt. st.; ilość gazet 674 — 747; wyd. perjod. 510 — 79'; Ilość zajmujących się prawem 280 tys.; ilość zajmujących się pedagogją 500 tys.; ilość zajmujących się nauczaniem 500 tysięcy.

NA DOBIE.

Prowincja.

II.

Źle się dzieję z zapisami legowanymi przez mężów wielkiego ducha. Jednocześnie z dwuch krańców Królestwa: Suwalskiego i Lubelskiego, dochodzą skargi na sponiewieranie woli zapisodawców, Karola Brzostowskiego — w Sztabinie i Stanisława Staszica w Hrubieszowskim. I tam i tu winą złego — wmieszanie się żywiołów biurokratyczno-rusyfikacyjnych w sprawy, które tylko rychłe wprowadzenie samorządu, powołanego z sił miejscowych, ocalić potrafi od zupełnego zaniku. Martyrologja zapisu sztabińskiego, zmieściłaby się chyba w kilku artykułach specjalnych; w dziale naszym brak miejsca na pobieżne bodaj streszczenie zapasów myśli twórczej z obezwładniającą rutyną...

Hrubieszowskie zaś Towarzystwo rolnicze imienia Staszica zdawało się wchodzić na drogę reform pożądanych: usunięcie p

Dobryłowskiego „kierującego" sprawami T-wa 20 lat, wróżyło nową, pomyślniejszą erę.

Kurjer lubelski jednak (w artykule „Dalsze eksperymenty" *naprawy* T-wa) nie rokuje Towarzystwu lepszej doli pod nowymi (?) rządami.

Po p. Dobryłowskim mianowano prezesem T-wa pana... Aleksiejewa...

Ze zmianą osoby p. o. prezesa stowarzyszeni nie mogą i teraz liczyć na przywrócenie okaleczonej i w części zawieszonej ustawy Staszica. Wtłoczenie prywatnego stowarzyszenia, korzystającego z mocy testamentu Staszica, z najezerszej autonomji, w ciężkie i ciasne tryby machiny biurokratycznej, musi prowadzić w dalszym ciągu do dezorganizacji tej najwspanialszej w kraju instytucji.

Niepodobna niezgodzic się ze smutnym horoskopem, stawianym przez *Kurjera*, zwłaszcza, gdy się rozważy dalszą treść artykułu.

W r. z. Rada Towarzystwa złożyła projekt nowej ustawy, rzekomo poprawiającej błędy (!) Staszica a opracowanej w różnych kancelarjach.

W ubiegłym miesiącu Rada, w obecności kilku (!) zaproszonych włościan, odczytała zmodyfikowaną nieco, zeszłoroczną *nową* ustawę. Przedstawiciele stowarzyszonych oświadczyli, że nie życzą sobie żadnych zmian w ustawie Staszica. Ogólne zebranie wyrazi się ostatecznie w tej mierze; jeżeli jednak nie zgodzi się na zmiany proponowane, biurokracja zastosuje znów do rządzenia sprawami T-wa swe „tymczasowe" instrukcje, które miały moc swoją — przez 20 lat ubiegłych, stale prowadząc instytucję ku upadkowi.

Kurjer przypomina, że wolę testatora, wyra oną w ustawie Najwyżej zatwierdzonej, może zmienić tylko najpoważniejszy akt prawodawczy.

Na dobro p. Aleksiejewa zapisać należy iż wydał drukiem ustawę Staszica, dotych czas chowaną najstaranniej przed stowarzyszonymi. P. Aleksiejew poprzedził ją nawet biografią i testamentem Staszica, oraz dość udatnym jego portretem. W słowie wstępnym dzisiejszy prezes T-wa obarcza gorzkimi wymówkami, a nawet oskarżeniami, stowarzyszonych, że „zamiast wdzięczności za doznawane dobrodziejstwa, opłacają się niszczeniem zapisanego im przez Staszica majątku, nędznymi intrygami i jawną nienawiścią do Zarządu T-wa" (może zasłużoną?) W samym zaś życiorysie Staszica, p. Aleksiejew pisze:

...„Cała gmina zasiedlona była Rusinami Unitami. To dowodzi, że Polak-katolik, Staszic, nie był ciasnym nacjonalistą, dbającym tylko o dobro braci swoich Polaków. Na sprawę włościańską patrzył z szerszych horyzontów, marząc o uwolnieniu włościan poza granicami Chełmskiego" (?) „kraju".

Wzmianka ta, oraz zarzuty, hojnie szafowane stowarzyszonym przez p. Aleksiejewa, dają *Kurjerowi* pole do następujących uwag, zupełnie słusznych:

P. Aleksiejew pamięta zapewne i wie, co wyprawiano z Rusinami-Unitami za panowania p. Dobryłowskiego *et consortes* w przeciągu lat 20. Jeżeli włościanie nie dbali o lasy, to w jaki sposób dbała o nie Rada i mianowana przez nią służba leśna, łatwo było zasięgnąć najdokładniejszych informacji podczas sprawy sądowej p. Dobryłowskiego z mecenasem Kosteckim, gdzie cała gospodarka leśna p. Dobryłowskiego aż nadto wyszła na jaw, żeby jakimikolwiek zarzutami obarczać stowarzyszonych włościan.

Jeżeli znowu włościanie powstawali przeciwko zakładaniu szkół takiego typu, jakie chciał mieć p. Dobryłowski *et consortes* to przez to może instynktownie wyrazili protest przeciwko tym instytucjom, które były pomyślane bez uwzględnienia ich poglądów i potrzeb.

Zapewne, skargi włościan na Zarząd Towarzystwa były niekiedy bezpodstawne, ale jaki los spotykał skargi zupełnie słuszne i sprawiedliwe? Czy te skargi nie były odsyłane i umarzane przez samą Radę, będącą przez dziesięciolecia całe w stanie oskarżenia przez stowarzyszonych? Wybory do Rady, jak twierdzi autor broszury, odbywają się za wódkę i pieniądze. Na to odpowiadamy pytaniem: Kto był moralnym twórcą tej ohydy i jak traktowano artykuły ustawy, dotyczące wyborów w Towarzystwie?..."

Uwagi te, panie Aleksiejewie, wygłasza *Kurjer* organ postępowy, daleki od „ciasnego" nacjonalizmu...

Dawne ustawy stowarzyszeń miały tę właściwość, że o ile z nimi nie sympatyzował rząd, otrzymywały one — z góry sprostowania, wyłączenia pewnych §§ i t. p.; niekiedy zamiast nich działały „instrukcje tymczasowe..."

Dziś — rejestruje się ustawy w całości, a gdy stowarzyszenie jest niewygodne—zamyka się je.

Zamknięto więc uniwersytet ludowy w Radomiu z jego oddziałami, co tworzy znów pewną lukę w dziele kultury prowincji.

Powstają natomiast nowe zrzeszenia: w Lublinie otwarto oddział związku kelnerów zawodowych w Królestwie. Lublin — jedno z pierwszych miast po Warszawie — ma dużo pracowników tej gałęzi, znacznie mniej jednak, niż Łódź. Chwaląc więc inicjatywę i energję kelnerów lubelskich, zwracamy uwagę, że o ile nam się zdaje, koledzy łódzcy nie zdobyli się dotychczas na utworzenie swego oddziału. Czy tak?... A jeżeli tak, to dlaczego?...

Czyżby tylko dlatego, że w niemczonym mieście większość kelnerów przypada na żywioł niepolski, a ten nie chce wchodzić w kontakt z polskim?... Radzibyśmy usły-

W Wilnie organizuje się Towarzystwo stróżów - chrześcijan, celem: podniesienia ekonomicznego, moralnego i umysłowego poziomu swych członków i ich rodzin. Oby Towarzystwo to znalazło lepszych opiekunów, niż ich mieli poprzednio stróże warszawscy, aczkolwiek patronowali im... kapłani katoliccy.

Zycie towarzystw kulturalnych zabije przyspieszonym pulsem, dzięki okólnikowi departamentu policji, który nie kaze stawiać nadal przeszkód w urządzaniu odczytów.

Prowincja pod tym względem szczególnie była upośledzona: w oczach niejednego naczelnika powiatu lub straży ziemskiej, każdy prelegient miał w sobie coś z anarchisty... A jakie formalności! — i nieprzewidziane przez prawo. W Wieluniu naczelnik straży od zabłąkanego w tamte strony prelegienta, który zapowiedział odczyt krajoznawczy, żądał koniecznie *drukowanego* oryginału odczytu!...

Okólnik departamentalny powstrzyma choć na czas jakiś (do nowego, odmiennego okólnika) zapędy biurokracji — ku głuszeniu głosów z mównicy publicznej.

Z prawa głosu korzysta skwapliwie kaliskie koło wpisów szkolnych: urządziło już ono, w sali T-wa muzycznego w Kaliszu, parę wieczorów dyskusyjnych. Doskonale obmyślano tam referaty w kilku odrębnych kwestjach w ciągu wieczora i dyskusję nad nimi. Np. na program 2-go wieczora dyskusyjnego składały się krótkie referaty: d-ra E. Beatusa: „O pasorzytach chorobotwórczych"; d-ra Zbierzchowskiego na temat: „Higjena i szkoła"; p. Marcina Heymana: „Piękno w życiu codziennym" i prof. Rutkowskiego: „O wychowawczym znaczeniu wycieczek krajoznawczych".

Nie jesteśmy zwolennikami szablonów, a przecież, zanim inne miasta wyna dą odmienne, swoiste zorganizowanie wieczorów odczytowo-dyskusyjnych, stawiamy za przykład w tej mierze Kalisz. *Hr.*

Bibljoteka Zielińskich i Towarzystwo Naukowe w Płocku.

Oddalony od kolei, na urwistym wybrzeżu Wisły uroczo położony, Płock — żyje życiem odrębnym, swoistym — ale zy e — nie drzemie.

W tym cichym zakątku, oderwanym od wielkomiejskiego gwaru, niezmordowanie i wytrwale krząta się około poważnych kulturalnych zadań gromadka światłych i ofiarnych działaczy, niezrażająca się trudnościami chwili, spokojnie i ufnie wpatrzona w lepszą przyszłość.

Zrzadka dochodzą nas stamtąd jakieś echa, gdyż praca taka nie szuka i nie zdobywa rozgłosu. Tylko czasem zjawi się wieść o jakiejś cennej robocie, dokonanej przez nieznanych szerszemu światu pracowników zabitej deskami prowincji (jak np. o atlasie statystycznym d-ra Macieszy).

Z takich to właśnie cichych pracowników składa się Towarzystwo Naukowe Płockie, przed rokiem powołane do życia celem rozciągnięcia stałej opieki nad zapisaną rodzinnemu miastu Bibljoteką naukową Józefa Zielińskiego.

Odzywały się głosy, że szkoda tak cenną bibljotekę zakopywać w prowincjonalnym zakątku, że pożytek byłby znacznie większy, gdyby ją przeniesiono do większego ogniska umysłowego ruchu np. do Warszawy.

I ja miałam te wątpliwości — ale zostały mocno podkopane. Warszawa jest zarazem za wielkim i za małym ogniskiem umysłowego życia, by warto na jej rzecz pozbawić Płock tego cennego zapisu.

Za wielkim — gdyż nikomu nie daje żyć w skupieniu i ciszy niezbędnej dla poważnej naukowej pracy, za małym, gdyż nieposiadając dość sił, wyrobionych umysłowo dla zaspokojenia kulturalnych potrzeb bieżących, eksploatuje na ich cel każdą, która się nadarzy, nie pozwalając na różniczkowanie zdolności i powołań. Tu i człowiek uczony i kompilator i przeciętnie fachowo wykształcony inteligient — każdy musi być popularyzatorem, prelegientem, nauczycielem, mówcą i potrosze dziennikarzem. Kto chce spokojnie oddać się czy to pracy twórczej, czy badaniom naukowym, musi uciekać z jej murów i mamy już na prowincji istne kolonje emigranckie pracowników umysłowych, szukających ciszy i skupienia na wsi.

Taką kolonją mógłby się stać pod pewnym względem i Płock, to małe, ciche, prześlicznie położone miasteczko, a jego atrakcją mogłaby stanowić bogata i ciekawa Bibljoteka Zielińskich. W niezmiernie krótkim czasie dokonano tam olbrzymiej pracy uporządkowania i skatalogowania blizko 15,000 tomów książek i broszur, przekazanych przez Józefa Zielińskiego i paru tysięcy, otrzymanych w darze od innych osób. Przeważają w bibljotece rzeczy stare — niektóre nadzwyczaj cenne i ciekawe. Są tam dzieła drukowane w końcu XV wieku w kolebce druku — Norymberdze, jest Statut Łaskiego z 1506 roku, jest Biblja Brzeska, pierwsze drukowane wydanie dzieła Kopernika, są nadzwyczaj zajmujące i artystycznie wydane atlasy Merkatora, poglądowe, stanowiące miejscami oryginalną kombinacją krajobrazu i mapy, jest dzieło astronomiczne Heweliusa — są i świeższe, a niemniej cenne pamiątki np: pierwsze wydanie Króla Ducha. Niemniejsze zainteresowanie budzi zbiór najdawniejszych czasopism polskich, sięgający dat odległych a pamiętnych. Widziałam np. *Głos Płocki* z 1831 r. ze sprawozdaniami z obrad sejmowych.

Bogaty dział dawnych polskich dzieł przyrodniczych i podręczników naukowych mógłby dostarczyć ciekawego materjału badaczom polskiej nauki i polskiego szkolnictwa.

Tymczasem dość ubogo przedstawia się jeszcze księgozbiór nowszy i dlatego też Towarzystwo naukowe zanosi prośbę do autorów i wydawców, by zasilali je egzemplarzami swoich wydawnictw. „Bibljoteka przyjmuje z wdzięcznością nawet pojedyncze tomy, zeszyty i numery wszelkich wydawnictw perjodycznych, gdyż w ten sposób może dojść do bardzo ciekawych kompletów" — czytamy w pierwszym rocznym sprawozdaniu.

Obok bibljoteki posiada Towarzystwo Naukowe i zbiory szkolne, stanowiące zdumiewający obraz samopomocy. Wobec skąpych funduszów zarząd zbiorów szkolnych musi osobiście wykonywać stolarskie, introligatorskie i inne rzemieślnicze roboty, co więcej — i bogaty zbiór djapozytywów i negatywów jest również własnego wyrobu, a nawet zasila inne placówki oświaty. Przezrocza płockie bywają zamawiane do Łodzi i innych miast prowincjonalnych. Ofiarność osobista organizatorów towarzystwa, ich bezinteresowna praca podtrzymują istnienie instytucji, która posiada dopiero stu dwudziestu kilku członków, płacących względnie nie wielkie, bo minimalnie 3 rublowe składki roczne.

Dla zapewnienia trwałego istnienia i własnego dachu cennej bibljotece zakupiono dom, piętrową kamienicę w starym stylu, licząc że komorne opłaci procenta i lokal zajmowany przez księgozbiór.

Mimo trudnych warunków wyniosłam przekonanie, że Towarzystwo Naukowe ma przyszłość zapewnioną; tę otuchę budzą nie zewnętrzne okoliczności lecz całkowite oddanie się, serdeczne i gorące przywiązanie tych ludzi, którzy jego losy w swych rękach piastują. Są tacy, co mu upaść nie dadzą, a prędzej czy później ogół poparcia im udzieli. *I. M.*

Encyklopedja ludowa.

Każdy, kto pracuje w dziale oświaty ludowej, uderzony jest chyba nędzą naszej literatury popularnej.

Rynek księgarski obiegają przeważnie rzeczy bezbarwne, bezwartościowe, obliczone na nieskończoną naiwność „dorosłych dzieci", albo też wydawnictwa zabarwione partyjnie.

Mamy coprawda n. p. w dziale przyrodniczym dziełka o wybitnej wartości jak książeczka Promyka, Brzezińskiego Kramsztyka i innych, lecz przeznaczone są one przeważnie dla samouków, rozpoczynających dopiero naukę; poza tym każda z książeczek wydawana jest oddzielnie bez wspólnego planu, dzięki czemu pewne podstawowe wiadomości powtarzają się bez mała w każdej z nich, lecz trudno jest samoukowi przekroczyć te skromne granice.

A że żądza samouctwa jest u nas z drugiej strony wielka, świadczy o tym chociażby przyjęcie jakiego doznał „Poradnik dla samouków", popularność którą się cieszą książeczki „dla wszystkich" Arcta i t. d.

Dlatego nie można bez entuzjazmu powitać zapoczątkowanego przez Zygmunta Herynga wydawnictwa Encyklopedji ludowej.

Celem Encyklopedji jest udostępnić ludowi jak pod względem formy wykładu tak ceny zorjentowanie się we wszystkich żywotnych zagadnieniach życia nowoczesnego, zgodnie z założeniem, ze robotnicy głośno i dobitnie mówią juz nam o sobie „Ludźmi jesteśmy i nic z tego co ludzkie nie może być nam obce".

W tym celu Encyklopedja zamierza:

1) Dać ogólną charakterystykę każdej gałęzi wiedzy t. j. wskazać na jej istotę główne zadania, na metody, którymi się ona posługuje, na jej dotychczasowe wyniki i ostateczne przy obecnym poziomie granice.

2) Ułatwić bardziej szczegółowe poznanie tej gałęzi wiedzy lub sztuki przez wskazanie dzieł, podręczników, monografi lub najlepszych opracowań ze wszystkich encyklopedji, poradników dla samouków z dokładnym podaniem nietylko tytułu, lecz rozdziału i stronicy, gdzie o danej kwestji jest mowa.

Nazwiska redaktorów Encykl. zyskanych współpracowników, rekrutujących się przeważnie z pośród najwybitniejszych sił polskich, dają rękojmę, iż wykonanie Encyklopedji uniknie niebezpieczeństwa tandety popularyzatorskiej.

Całokształt wiedzy zamierza objąć Encyklopedja w 33 1—2 arkuszowych broszurach, szczegółowe indeksa przy odpowiedniej paginacji i lineacji ułatwią korzystanie z niej.

We wstępnej broszurze, która już się ukazała zamiast prospektu p. t. „Jaką być powinna Encyklopedja ludowa", Zygmunt Heryng w następujący sposób charakteryzuje potrzebę takiego wydawnictwa:

„Olbrzymie zadania spadły we wszystkich dzielnicach Polski nietylko na masy ludowe w ich całości, lecz i na barki najlepszych tych mas przedstawicieli i kierowników.

Sprostałyby i dziś już tym zadaniom rzesze ludowe, gdyby dla pomyślnego ich rozwiązania dość było wytrwałości niespożytej, ofiarności bezgranicznej i bohaterskich wysiłków!

W dzisiejszych jednak nietylko ciężkich lecz i złożonych bardzo warunkach życia społecznego nie wystarcza bierna wytrwałość bezcelowa ofiarność i nie pomogą chwilowe bohaterskie wysiłki.

Działalność ludowa skierowana ku umiejętnemu wyzyskaniu zdobyczy już osiągniętych i skutecznemu odparowaniu grożących nam zewsząd ciosów musi być przedewszystkiem oparta na gruntownej znajomości terenu za który lub o który walka się toczy, a więc na wszechstronnej przedmiotowej wiedzy, a nie jak dotąd na z konieczności stronniczych wskazaniach partyjnych, na dorywczych informacjach gazeciarskich, lub na broszurach, które, pomijając już partyjne ich zabarwienie, daleko częściej w zakresie społecznym zwłaszcza, wiedzę wulgaryzują, aniżeli ją popularyzują. Dać ludowi taką wszechstronną, przedmiotową wiedzę w najogólniejszych zarysach i ułatwić mu w miarę możności dalsze jej zdobywanie — oto zadanie, którego się podejmujemy ze świadomością całej odpowiedzialności, która na nas ciąży.

Potrzebę i doniosłość Encyklopedji ludowej zrozumiały nasze t-wa oświatowe i mamy tu do zanotowania fakt radosny, iż bez względu na swoje polityczne i społeczne zabarwienie, poparcie częściowe wydaniu Encyklopedji zapewniły.

Wobec faktu bowiem, iż na ogół nasze firmy wydawnicze przekładają wydawać na wścigi, popłatne sensacje w rodzaju Sherloków Holmes'ów nad rzeczy dla społeczeństwa użyteczne, lecz mniej rentowne ogromny koszt związany z wydawnictwem Encyklopedji oprzeć się musi na poczuciu samopomocy.

Byt Encyklopedji zależy więc od tych którzy wierzą, iż „tylko na masach ludu wiejskiego i miejskiego jak na opoce z granitu bezpiecznie oprzeć można przyszłość społeczeństwa polskiego, że wobec tego praca nad podniesieniem umysłowego poziomu tych mas, to najważniejsza bodaj zadanie chwili obecnej".

Przyczynić się do szybszego zrealizowania Encyklopedji można biorąc 10-o rublowe udziały, lub wnosząc prenumeratę w ilości rb. 12 (co wynosi o 33 ⅓% taniej, niż kupując oddzielne książeczki (lub prenumeratę częściową rb. 2 za 10 broszurek do wyboru.

Jeżeli suma ta przekracza możność osób pojedyńczych, to niewątpliwie w gromadzie nie trudno się na nią zdobyć. To też niewątpliwie wszystkie nasze zrzeszenia społeczne bez wyjątku, kółka Staszycowskie, t-wa Kultury, Światła, spółki współdzielcze i t. d. a także grupy włościan i robotników od tego się nie uchylą.

Tymczasowy adres redakcji: Zygmunt Heryng. Kraków, Wolska 13.

M. Orsetti.

Gimnastyka rytmiczna.

Jakób Dalcrose, Szwajcar, profesor konserwatorjum w Gienewie, a zarazem literat i kompozytor, jest twórcą gimnastyki, która ma za podstawę rytm: wszystkie ruchy i giesty odpowiadają taktom muzycznym i kombinacjom rytmicznym, powstałym przez zestawienie nut różnej wartości.

Wiemy dzisiaj, że systematyczna gimnastyka w dzieciństwie i młodości sprawia, że organizm rozwija się prawidłowo, nie ulegając zboczeniom od normalnego typu, że gimnastyka wzmaga fizjologiczne funkcje, wywołuje wzmożenie fizycznej dzielności i sprawności ustroju, wzmaga odporność wobec chorób, zapobiega zaburzeniom ustrojowym w przełomowych epokach rozwoju, wreszcie jest wielce pomocną w wypadkach obciążenia dziedzicznego.

Rozumie się, nie mówimy tutaj o gimnastyce niemieckiej, która dąży tylko do rozwoju atletyki, robiąc z ludzi siłaczów z niewyrobionymi narzędziami wewnętrznymi — mamy natomiast na myśli gimnastykę szwedzką Linga, w szczególe zaś gimnastykę grecką (gry ruchome i sporty), która nietylko rozwija mięśnie oraz narządy wewnętrzne ciała, lecz wywiera niezaprzeczony wpływ moralny i estetyczny.

Obecnie wyłoniła się nowa metoda, która dąży nietylko do rozwoju i sprawności ciała, samodzielności członków, lecz rozwija poczucie harmonji i rytmu, a wraz z tym i muzykalność. Gimnastyka rytmiczna uwzględnia szczególnie:

1) stosunek władz fizycznych do władz umysłowych;

2) stosunek czasu do przestrzeni;

3) zgodność stosunków harmonijnych wyobraźni i ruchu.

Tym sposobem uwzględnia gimnastyka rytmiczna rozmaite czynności życia dzieci. Uczą się one chodzić, mówić, śpiewać, wykonywać giesty naturalnie i ładnie. Śmiało więc można nią zastąpić ćwiczenia szwedzkie i greckie, łączące w sobie wszystkie te zalety.

Nowa metoda powstała z piosenek ułożonych dla dzieci pod nazwą „Chansons de gestes". Dzieci przy akompanjamencie muzyki śpiewały piosenki, wyrażając giestami ich rytm i nastrój.

Autor nowej metody doszedł do przekonania, że brak poczucia i rozwinięcia rytmu jest ujemnym czynnikiem w całokształcie naszego wychowania i że wogóle czynnik ten jest przez nas lekceważony, a jednak szereg ćwiczeń rytmicznych pozwala dzieciom nietylko opanować rytm w muzyce, lecz służy do wyrobienia elastyczności i zręczności ruchów z jednej strony, zaś sprawności narzędów wewnętrznych i mięśni z drugiej, że wspomnę tutaj tylko o zwiększonej potrzebie oddechu przy gimnastyce rytmicznej oraz o możności usystematyzo-

wania czynności oddechowej, co wpływa na rozszerzenie klatki piersiowej.

Gimnastyka rytmiczna utrzymuje też w ciągłym napięciu uwagę i doprowadza wolę do wysokiego stopnia rozwoju (po nagłej komendzie na „hop" zmiana ruchu).

Zważywszy to wszystko nie możemy się dziwić, że powstał już cały szereg uczelni w Paryżu, Londynie, Berlinie, Szwajcarji, Hamburgu oraz w innych miastach Europy, dla zastosowania nowej metody, że garną się do niej i dorośli, zrozumiawszy, że godną jest ona jak najszerszego poparcia.

Zwiedzając kilka lat temu, podczas pobytu mego w Gienewie szkołę prof. Dalcroze'a, nie myślałam, że przypadnie mi kiedyś w udziale miły obowiązek stwierdzenia dodatniego faktu, że i my szkołę taką, zasługującą na uwagę lekarzy i pedagogów, posiadamy.

Otworzyła ją u nas p. Franciszka Kutnerówna, pod której kierownictwem liczny zastęp uczenic wykonywuje szereg wysoce zajmujących i pożytecznych ruchów.

Życzyćby należało, by gimnastyka rytmiczna, tak pożyteczna dla rozwoju ciała i ducha, przeniesioną została na grunt szkół nowych i stała się z czasem przedmiotem obowiązującym.

D-r med. Matylda Biehler.

Przez pryzmat Prawdy.

Czytelnikom pism, a między innymi i *Prawdy* znany jest protest prelegientów, którzy, bez względu na dzielące ich obozy myśli, jednogłośnie i zgodnie wyrazili swe oburzenie na zachowanie się władz Muzeum Przemysłu, które odmówiły sali na odczyty niesympatycznym dla nich prelegentom a między innymi pp. Moszczeńskiej, Budzińskiej—Tylickiej, Niemojewskiemu, Szukiewiczowi, Millerowi i Glückowi. Sprawa ta jest tak charakterystyczna w swej gienezie, że jej moralnym sprawcom wypada poświęcić słów kilka, aby społeczeństwo wiedziało, że przedpotopowe pojęcia mamutów nietylko wałęsają się jeszcze między ludźmi, ale nawet wpływ na sprawy publiczne wywierać pragną.

Nie będę tu wymieniał z nazwiska pp. członków sławetnego komitetu Muzeum, które uchwaliło to budujące „lex Heinze", wzorowane żywcem na swojskim prawie „o ochronie wzmocnionej", ponieważ jednak po skasowaniu cenzury na Miodowej nastąpiło samomianowanie nowego cenzora na Krakowskim Przedmieściu (stary gmach nowego komitetu cenzury i Muzeum), muszę natomiast zaznaczyć dla pamięci przyszłych pokoleń, że tym nowoupieczonym dygnitarzem, który odtąd sortować będzie, co jest przyzwoite, a co nie, co jest naukowe i co pseudonaukowe, co obraża estetyczne podniebienie, a co połknąć się daje, słowem tym wszechautorytetem, tą chodzącą kwintesencją wiedzy, smaku i powonienia, tą skoncentrowaną opinją ogółu jest pan Władysław Kiślański, wprawdzie nie generał, ale mąż dużych pieniędzy, właściciel domu, prezes kilku akcyjnych towarzystw „robiących w wagonach i nawozach sztucznych" i prezes kilku instytucji społecznych. Odtąd ten mąż wielkiego zaufania Fortuny, a potym kawałków społeczeństwa jak prawdziwy „wojennyj naczalnik" będzie przez telefon wydawał rozkazy, żeby nie dawać sali na odczyt Gabryjela Tołwińskiego o zbliżaniu się niejakiej Wenery do Jowisza, ze względu na nieznaną osobę prelegienta i wysoce niemoralny temat odczytu.

Tyle co do samego faktu. Są wydarzenia i są ludzie, dla których nawet najostrzejsza krytyka, jak dla marnej sztuki teatralnej, jest poniekąd zaszczytem. nie przyczyniałbym się więc do rozgłosu tych samozwańczych stróżów skromności i moralności publicznej, gdyby nie to, że zasłania ich powaga zasłużonej instytucji społecznej, którą zawładnęli.

Nie będę polemizował z tymi panami czy słuszną jest rzeczą, aby roztaczali swą kokosią opiekę nad społeczeństwem, które już dawno przestało być pisklęciem i niejednokrotnie dawało dowody trzeźwości sądu i zdrowego rozsądku swym nieproszonym opiekunom, zapytam ich jednak czy naprawdę uważają się za stojących umysłowo tak wysoko, aby móc sądzić i oceniać wszystkich i wszystko? Byłaby to istotnie zarozumiałość i pyszałkostwo, graniczące... z nieuctwem... A może to tylko naiwność?

Nie będę tu podnosił tej strony sprawy, że takie krępowanie wolności słowa ze strony żywiołów niby społecznych, gdy pseudo-nieboszczka cenzura jeszcze w życiu praktycznym pokutuje, jest brzydkie, gdyż pośrednio daje reakcyjnemu obozowi dowód jej konieczności, wiem bowiem, że analogiczne żywioły w czasach wolnościowych zupełnie poważnie myślały o zastąpieniu kozaków przez krakusów z nahajkami, muszę natomiast najkategoryczniej oświadczyć tym panom, że społeczeństwo ich nieproszonej opieki nie potrzebuje, potrafi ono bowiem samo odróżnić ziarno nauki od plewy. Ma ono jeszcze zdrowy instynkt, który nigdy nie zawodził, a jeżeli kiedykolwiek się mylilo, to zawsze dzięki otumanieniu przez tutti quanti opiekunów z pod ciemnej gwiazdy.

Na pociechę dodać należy, że z wyjątkiem komitetu zarazą obskurantyzmu nie dotkniętą została ani Dyrekcja ani kierownicy pracowni naukowych, mieszczących się w Muzeum, a dotknięci ostracyzmem prelegienci bez szkody dla zdrowia publicznego podzielili się swą wiedzą z chętnymi słuchaczami w sali Stowarzyszenia Techników.

Sector.

LITERATURA I SZTUKA.

D-r Józef Flach: **Stanisław Wyspiański.** Studjum. Brody, nakładem księgarni F. Westa 1908 r. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł), str. 112.

Liczne dotychczas studja o twórczości Stanisława Wyspiańskiego noszą po większej części charakter impresji, nieraz z wielkim odczuciem i zrozumieniem dzieł poety pisanych; rzadziej są to transpozycje, wyolbrzymiałych wizji autora „Wyzwolenia", na język szerokich mas czytających. Nie zdarzyło mi się dotychczas spotkać pogłębionego studjum, którego zadaniem byłoby dotrzeć do pierwotnych źródeł natchnienia Wyspiańskiego, do poznania wpływów, które umysł jego i wyobraźnię rozszerzały, aby na podstawach tych zasadniczych usiłować stworzyć syntezę jego twórczości.

Studjum d-ra Flacha jest pierwszą na większą skalę powziętą i z wielką sumiennością napisaną próbą takiej syntezy.

Flach nie należy do umysłów gorących, zapalnych, nie jest też bynajmniej ślepym wielbicielem Wyspiańskiego.

Studjum jego z jednej strony zyskuje na tym — jest rzeczywiście nadzwyczaj ścisłe i sumienne, z drugiej traci — ma w sobie chłód akademicki, właściwy pisarzom, wykształconym, jak Flach, na niemieckich źródłach.

Bardzo ciekawe i niezwykle oryginalne jest zdanie Flacha o tym, pod czyim wpływem kształtowała się twórczość Wyspiańskiego. Negując — zdaniem moim zupełnie słusznie — wpływ Słowackiego (rapsody powstały, jako poetyckie domówienie witrażów, ze Słowackiego wzięły tylko formę stroficzną) Flach podkreśla przeważny wpływ Matejki na ukochanego ucznia oraz znaczne oddziaływanie Ryszarda Wagnera na pojęcia Wyspiańskiego o wszechsztuce, zogniskowanej w teatrze.

Wogóle zarówno wstęp, omawiający ogólny rozwój twórczości Wyspiańskiego i jej źródła, jak i rozbiór pierwszych jego dzieł należą do najlepszych kart książki Flacha.

Słabiej orjentuje się krytyk w „Weselu" i „Wyzwoleniu"; o „Akropolisie" wprost powiada „nie rozumiem". Takie wyznanie, szczere i uczciwe, stokroć jest milsze od szablonowych półdociekań lub nieuzasadnionych napaści (prof. Tarnowski).

Wogóle dzieło Flacha jest pierwszym krokiem do wejrzenia w głąb twórczości Wyspiańskiego, pierwszym kamieniem, na którym budowniczowie — krytycy będą budować gmach syntezy.

Jan Iwański.

P. J. Béranger: **Piosnki.** Spolszczył S. H. Skład gł. w księg. G. Centnerszwera i S-ki.

Piosenki Béranger'a! A więc Bastylja, Napoleon, Restauracja; więc lekkość, subtelna ironja, wytworna prostota; więc pogodny indyferentyzm wobec krzykliwych sztandarów purytanizmu i demagogji; więc łzy i śmiech, częściej śmiech, zawsze szczery i donośny, czy to będzie śmiech zapamiętałego republikanina wobec markiza Carabas, czy kochanka bulwarowej Frétillon, czy podochoconego winem birbantu, czy wreszcie szydercy serwilizmu i sutenerstwa.

Béranger przekonywa bezpośredniością. Obojętnemu *dla niego* tematowi, choćby skądinąd najbardziej interesującemu, nie poświęci ani jednego wiersza. To też piosenki jego, mimo dość ubogi w treść immanent poety, mają swoje miejsce w literaturze i pozostaną.

Tak, wyniośli pp. poecikowie wszystkich epok, — piosenki te pozostaną. Próżno, uzbrojeni w papierowe kaski i drewniane szabelki, wspinacie się na paluszki, wołając patetycznie, że wychodzicie poza doczesność; nikt wam nie uwierzy! wy każdym fibrem waszych drobnych istotek tkwicie w niej, podobnie, jak ten romantyczny piosenkarz-bourgeois francuski. Tylko, że on się do tego szczerze i dumnie przyznawał — i dlatego pozostanie. Bo szczerość, moi panowie, to pierwszy warunek twórczości.

Porozumiejmy się bowiem: czemże jest Piękno? Nienawiścią Brzydoty, — zapewne. Lecz Brzydota, — to zaiste treść, której już nie trzeba zdobywać, która już jest poza nami: to wszystko to, *do czego nie trzeba już dążyć*, co tępe w swej skończoności, co pozwala się ściśle i bezpowrotnie zamknąć w gnuśnym określeniu, co nie zna *nuance*'ów od Rzeczywistości do Marzenia, od Marzenia do Rzeczywistości. Stąd, dążąc za Pięknem, dążymy za Niepoznawalnem, Niedocieczonem,—tworząc Piękno, tworzymy Niepoznawalne, Niedocieczone. To są zadania Sztuki.

I Béranger służył tej Sztuce. Ten prosty, dobroduszny człowiek, rozmiłowany w warjantach doczesności, miał swoją Rzeczywistość i — Marzenie, ideał tej Rzeczy-

wistości. Nie wychodził poza to. Cóż, że życie wypełniła mu treść, nad którą Mickiewicze przechodzą do porządku dziennego. On w *tej treści miał swoje* Niepoznawalne i Niedocieczone; dążąc ku Niemu, tworzył Piękno,—tworzył Poezję. A poezja jest zawsze jedna.

Tylko nie zawsze zostaje nią w przekładzie na obcy język. Świeżo wydane piosenki w przekładzie p. S. H. mają w sobie niewiele z Beranger'a. To raczej piosenki oryginalne, wcale zgrabne i niewymuszone, osnute na tematach piosenkarza paryskiego. Język ich niezawsze poprawny, wersyfikacja naogół pospolita, cały wogóle *ton*, w nich panujący, stawiają je na poziomie literatury pism humorystycznych.

Są dowolności, wręcz karygodne w przekładzie: niezachowanie rytmiki, porządku rymów, ba! nawet ilości wierszy w strofie. Wdzięk i wykwint dyskretnego *bon mot*'u zastępuje tu gruba, dosadna rubaszność. A przytym jaki nonszalancki brak skrupułu, jakie lekceważenie poety! Tłumacz odważa się na samodzielne zmiany w rozwinięciu fragmentów tematu, na zastąpienie inną treścią całych zwrotów. Oto, dla przykładu, dwie strofy:

„Raz była Zosia trochę chora:
Coś miała w gardle, czy w serduszku;
Wnet sam przyleciał po doktora,
Dzień cały siedział przy jej łóżku,
A mnie rzekł: „Nic się tak nie stało,
Możesz pan iść do biura śmiało"!
Ach, co za zaszczyt, mój Boże!
Dobrodzieju, senatorze,
Padam do nóg ci w pokorze"!

(Près de Rose il n'est point fade
Et n'a rien d'un freluquet.
Lorsque ma femme est malade,
Il fait mon cent de piquet.
Il m'embrasse au jour de l'an;
Il me fete à la Saint-Jean.
Quel honneur,
Quel bonneur,
Ah! monsieur le sénateur,
Je suis votre humble servitour").

Albo:

„Choć dawno króla już skosił zgon,
Wciąż jego pamięć żyje w narodzie;
I portret jego, wśród winnych gron,
Na froncie wisi w każdej gospodzie.
I niema dnia, by władcy dobrego,
Gdy na kieliszek ludzie się zbiegą,
Nie pozdrowiono
[illegible]
Co to za pyszny królik był,
Kochał kobietki, winko pił!
La, la...

(„On conserve encore le portrait
De ce digne et bon prince;
C'est l'enseigne d'un cabaret
Fameux dans la province.
Les jours de fete, bien souvent,
La foule s'ecrie en buvant
Devant:
Oh! oh! oh! oh! ah! ah! ah! ah!
Quel bon petit roi c'etait la!
La, la").

Jak widzimy, są tu wyraźne chęci *wzbogacenia* ekspresji wiersza. Tłumaczowi nie wystarczają nieme wykrzykniki Beranger'a: niezadowolony zastępuje je dobitnie słowami. Szczęśliwy Beranger! Przypominają się słowa Heinego:

„Hat man viel, so wird man bald
Noch viel mehr dazu bekommen!"

Mieczysław Finkelstein Ziębowski.

L. Belmont: **„Tłum jak myśli, czuje i działa"**. Zbiór odczytów.

Pan Belmont uważa, że „deklaracja praw" była zbyt idealistycznie zbudowana—i dlatego nawet republikanie „niszczyli ją co dnia „od nieograniczonych zezwoleń teorji w imię prawa natury, przerzucając się w praktyce do najbrutalniejszych zakazów, ograniczając wolność sumienia i nietykalność obywatelską" (str. 56). Ponieważ „deklaracja praw" była osią, jądrem barocentrycznym formowań się rewolucyjnych konstrukcji idejowych i praktycznych rozwikłań, przeto, z natury rzeczy,musiała wywołać i ostrą krytykę i bezwzględne peany zachwytu.

Tak—Jaurés i Duport, wraz ze szczerymi republikanami uważają deklarację za katechizm młodzieży, za kartę wolności całego nowego świata. Wielu i dziś dyletancko porównywa ją z *Magna Charta*, sądząc, że odzwierciedla w sobie polityczną tęsknotę człowieka nowożytnego. Inni znów, jak Burke, wytykał deklaracji zupełne „zmieszanie prawa legalnego z celowością polityczną",—błędność myśli, jakiej „nie dorównał żaden inny dokument polityczny",—urojenie o twórczej sile nieograniczonego autorytetu narodu. Jest to krytyka człowieka, stojącego na gruncie szkoły historycznej. Autor odczytu o „burzycielskim i twórczym pierwiastku rewolucji", stara się pogodzić te dwa sprzeczne poglądy w syntezę. Aby dojść do tego, p. Belmont rozpatruje cztery drogi, którymi historja przychodziła do deklaracji praw: francuską, angielską, ogólno - europejską i północno-amerykańską. Zatym bada on szczególnie artykuły deklaracji: „Artykuł I dał nam ogólnik o pożytku ogółu; art. II — o oporze przeciw uciskowi; III — ogólnik o władzy narodu, wymagający dopełnienia *twórczego* przez dobrą ustawę wyborczą, której okres rewolucyjny nie stworzył". Pozostałe artykuły krytyk analizuje szkicowo, ale trafnie, wykazując luki, które wytwarzały przerzucanie się społecznej woli człowieka pomiędzy okrutnym: *nic nie wolno*,—a niemniej okrutnym, bo nastającym na wolę jednostki i równowagę mas: *wszystkim wszystko* wolno. Rewolucje dotychczasowe, a więc i ostatnia—ocierała się około tych krańców, uwydatniając przez to pierwiastek *burzycielski*, co rychło je osłabiało. „Bo kiedy gmach społeczny, konkluduje pan B. staje się nieznośną ruderą, kiedy w najlepszych ludziach budzi się marzenie o nowym, piękniejszym gmachu..., to nie sądźcie jednak, że jest możliwym i rozumnym zniszczenie całego gmachu, od prawego do lewego skrzydła, z zamiarem przystąpienia później dopiero do budowy... Bo przecie ludzie gdzieś mieszkać muszą... Bo żadna społeczność nie pozwoli, aby naraz zerwano jej cały dach nad głową... Żadna nie wysadzi się w powietrze z całym gmachem"... Trzeba zatym—jak to widać z ducha całego odczytu, umieć „przygotować się do autonomji", zrozumieniem przeszłości rewolucji, poznaniem granic pierwiastków kataklizmów dziejowych, aby „splotem tych cudownych sił—*niszczącej i twórczej*—ciągłym posuwaniem się mądrych i szlachetnych budowniczych", ewolucją, idącą z głębin zrównoważonego politycznie narodu — wykopać „grób staremu życiu i stworzyć nowe".

Te myśli rozwija p. Belmont w następnym odczycie „Walka idei polityczno-społecznych—które syntetyzuje tymi słowy: „Świat bądź co bądź dąży z postępem, moralność idzie naprzód, nigdy nie umiera, męty opadną same na dno, nowy układ sił społecznych po pewnym czasie znajdzie swoją równowagę, a *organizująca* zasada, która po czasie zatryumfować musi, nosić będzie charakter moralny" (str. 114).

Pomienione dwa odczyty rozpoczyna odczyt - studjum — „Tłum jak myśli, czuje i działa". Pod względem rozmachu, kolorytu stylu i dosadności porównań — należy do najlepszych płodów bujnej fantazji publicysty. Pomimo wyraźnego wpływu Tarda w całej pracy p. Belmonta, jego własne wnioski i aforyzmy świadczą o gruntownym przemyśleniu tematu. Szkoda tylko, że autor nie skondensował swych odczytów — przez co piękne ziarna myśli giną nieraz pod falą djalektycznych dywagacji.

A. Miller.

Teatr Mały: **„Samotni"**. Sztuka w 5-ciu aktach G. Hauptmanna.

Od pół roku blisko, odkąd mam sposobność zabierać głos w sprawach naszego teatru, ironją i sarkazmem, szczerym oburzeniem i chłodnym rozumowaniem walczyłem z tandetą literacką. Nie chodziło mi tu nawet o obronę wysokich ideałów wielkiej sztuki, nie łączyłem mego głosu z chórem snobów, uganiających się za najświeższą nowością i najnowszym odkryciem literackim, ale szanując teatr, rozumiejąc jego głębokie znaczenie kulturalne, bolałem nad warunkami, które jakoby zmuszają go do kompromisów, występowałem przeciwko ich zasadzie i nie mogłem pogodzić się z myślą, że teatr musi się *ratować* przez obniżanie swego poziomu artystycznego do wymagań publiczności.

Nie umiem przyjmować na wiarę ani słów, ani zdań utartych i, słuchając utyskiwań i oburzeń na tę naszą nieszczęsną publiczność, wątpiłem w duszy i wątpię dotąd, czy rzeczywiście potrzeba jej „krwawych ochłapów" i cynizmu płynącego z bezzębnych, oślinionych ust, czy najpiękniejszy kostjum może jej zastąpić treść i wartość artystyczną utworu, czy tak już zatrute są źródła jej duszy, że teatr tylko wtedy istnieć może, gdy wyprze się zupełnie jakichkolwiek artystycznych aspiracji.

Z takiego wychodząc założenia, nie wahałem się „klaść na obie łopatki" sztuki, które służyć mogły jedynie ku obniżeniu, a nie ku podniesieniu smaku i żądań. Mówiono mi, że c'est le ton, qui fait la chanson, a ton mych protestów był za ostry i za gwałtowny,—ale, przepraszam, ten ton stanowi nietylko piosenkę, ale mieścić w sobie musi i kawałek duszy mówiącego, czy piszącego, jest najprawowitszą jego własnością, jedynym jej dobrem, w którym zamyka on całego siebie, swą note personelle.

Nie pobudek, które mną kierowały, brano mi za złe zaciekłość, która rzeczywiście mąci harmonję naszych koleżeńskich stosunków prasowych, ale że występowałem w imię pewnej zasady, więc ważnymi są dla mnie nie sądy o mnie, ale fakty, któreby mnie przekonały, że, krusząc kopje, broniłem słusznej lub też straconej sprawy.

Czekałem na sztukę, której wartość byłaby już niejako ustaloną, a zachowanie się publiczności wobec niej mogłoby mi posłużyć za probież dla pewnego ogółu, za miarę jego artystycznych potrzeb.

I oto wreszcie Teatr Mały wystawił „Samotnych", Hauptmana. Jest to sztuka, która właśnie w obecnej chwili podwójne posiada znaczenie. Przedewszystkiem jest ona płodem szczerego artysty, a poza tym zaczyna już nabierać historycznego znaczenia, gdyż należy do rzędu utworów, w których szukać należy narodzin niemieckiego naturalizmu wraz ze wszystkimi jego zaletami i błędami W „Samotnych" spotykamy już wszystkie niemal motywy, które do końca stanowić będą zasadnicze cechy powstającego wówczas kierunku: jego radykalizm re-

ligijny i społeczny a przez to samo coraz wyraźniej akcentujący się rozłam między starym i młodym pokoleniem, na silnej podstawie praw jednostki do swego życia i szczęścia oparty bunt przeciwko przeżytkom form i płynącym z nich obowiązkom, dążenie do nowych, szczerszych i bardziej ludzkich praw i prawd z przewodnią myślą rozszerzania ich odrazu i na kobietę, uwzględniania jej żądań przy tworzeniu nowego prawodawstwa.

„Samotni” zaczynają się dla nas niejako zawcześnie: d-r Jan zbytnio może jeszcze tkwi w tej przeszłości, z którą zerwać będzie musiał, albo raczej przeciwko której zaprotestuje swą śmiercią. Jest on samotnym w domu, który zwie swoim; w dniu chrztu swego dziecka nie poddaje się wrażeniom ceremonji religijnej, ale jest wzruszony uroczystym nastrojem chwili, który gdzieś, w jakiejś nieświadomej prawie tradycji bierze swój początek; lekceważy on swą żonę, bo czuje całe jej duchowe ubóstwo zacieśnione do kilku cnót domowych, ale myśl o zerwaniu z tym całym otoczeniem, z którym w istocie nic go nie wiąże, powstaje w nim dopiero wtedy, gdy spotyka Annę, tę inną, nową kobietę, nowy typ człowieka co życie tworzyć zaczyna. Zestawienie tych trojga ludzi to nietylko zręcznie zbudowany konflikt sceniczny, nie jeden z tych trójkątów małżeńskich, którymi operuje teatr francuski, ale szeroko zakreślony obraz, w którym pewna dziejowa chwila się odbija i sprzeczne swe prądy przed nami roztacza.

Gdy jednak spojrzymy na nich innymi oczyma, i szukać w nich będziemy nie społecznego zjawiska, ale powikłania psychologicznego, inna przed nami ukaże się strona obrazu i przemówi do nas bólem tych trojga nieszczęśliwych, co nie z własnej woli czy winy, nie przez złą wolę jakiejkolwiek jednostki na krzyżach cierpienia duszę swe rozpinają, ale jak łódź przez prąd w wir zagnana, męką swą opłacić muszą zderzenie się dwuch sprzecznych fal życia i pierś swą podstawić jako plac ich boju...

Czy trzeba dalej opowiadać i tłumaczyć treść Samotnych, — malować wahania Jana, rozpacz jego żony, która nie umie się zdobyć nawet na myśl o walce ze swą rywalką? Czyż trzeba podkreślać stosunek Jana do Anny? Wszak wszystko to leży już w samym założeniu. Ci ludzie nic nie rozwiążą i nic zburzą, mękami swymi nic nie stworzą, bo los ich tkwi nie w tym przypadku, który często dolą człowieka igra, ale w całym splocie warunków i form życia, wobec którego bezsilnym jest ramię jednostki.

Przed laty dwunastu widziałem „Samotnych” w berlińskim Deutches Theater, który wówczas był kolebką naturalizmu, zwycięską placówką młodych, a okres kilkunastu lat w naszych czasach kładzie się już często między autorem i publicznością niemal jak „wieków długi przedział”. Ale niszcząca siła czasu stoi niejako w odwrotnym stosunku do wartości dzieła sztuki i maleje, ustępuje wobec tchnienia prawdziwie twórczej duszy. „Samotni” nie stracili dotąd nic ze swej siły i tylko, jak to już wyżej zaznaczyłem, nabrały tej dostojności, którą dziełom sztuki nadaje zwycięskie przebycie próby czasu.

Gdyby Teatr Mały za każdy „Klub Samobójców”, za każdą „Miłość” zapłacił mi jednym przedstawieniem „Samotnych”, czy innego dzieła sztuki, uważałbym rachunek nasz za wyrównany, ale nawet wtedy zapytałbym jeszcze nieśmiało, czy nie możnaby wolno, wolniutko zmniejszać tę porcję zatrutego obroku, którego domaga się ta w mrokach narodu gnieżdżąca się tak zwana publiczność? Tylko z pytaniem tym zwróciłbym się teraz już wprost do niej i chcę widzieć, ile jest *tej* „publiczności”, jaką jest jej siła, czy nie znajdzie się więcej tych, którzy pomogą „Samotnym” do utrzymania się na afiszu, a bojkotem cuchnącej zgnilizny i czczej pustki nie zmuszą do milczenia tamtych.

Bo w walce o zasadę, chodzi mi o to, by mi przyznano słuszność, nie dbam o piękny giest dumnego w swym osamotnieniu *votum separatum* i chcę mieć rację — nie dla siebie — ale dla zasady — dla ciebie, publiczności!

Stefan Gacki.

P. S. Uniesiony zapałem dyskusji na temat zasad, byłbym popełnił niesprawiedliwość i pominął milczeniem wykonanie „Samotnych” na scenie Teatru Małego. A niesprawiedliwość ta dotyczyłaby przedewszystkiem p. Pawłowskiej, która z roli Klary umiała wydobyć tyle poważnej treści, że w sztuce, w której dotąd znałem tylko dwie postacie: Jana i Anny, stworzyła mi ona jeszcze trzecią równie głęboką, a w płacz swój kładła tyle duszy, tyle szczerości, że chwilami zatracało się wrażenie sceny, fikcji scenicznej i ból sam mówił za siebie.

Z PRASY.

Głos Warszawski w przeglądzie prasy, cytując zdania pism o przewidywanej koncentracji — zaznacza, że stanowisko Zjednoczenia Postępowego wyrazi się zapewne w poglądzie *Prawdy*. Artykuł wstępny obecnego numeru dał mu już spodziewane wyjaśnienie zasadnicze, nie możemy jednak pominąć milczeniem komentarzy, którymi opatruje głosy innych pism postępowych. Jakkolwiek przyznaje, że „współdziałanie stronnictw nie może i nie powinno prowadzić do zniwelowania różnic i przekonań” — jednakże wpada jeszcze w stary swój nałóg (stał mu się on widać drugą naturą) i rozróżnia znów stronnictwa, które „nie zatraciły jeszcze instynktu narodowego” — od innych, które snać go straciły — w opinji *Głosu Warszawskiego*. Jakkolwiek cenzurka co do naszego stronnictwa wedle *Głosu War.* ma pono wypaść twierdząco, — pozwolimy sobie protestować przeciw samemu wystawianiu nam jej i powtórzyć po raz setny pytanie, z jakim się wciąż żywioły postępowe do obozu narodowo-demokratycznego zwracały: Kto wam daje prawo do wydawania patentów na Polaków, na patryjotów, na ludzi „czujących narodowo” lub „nienarodowo”. Całkiem samozwańczo przywłaszczyła sobie narodowa demokracja ten absolutnie niczym nieusprawiedliwiony i—niczym nie stwierdzony autorytet i narzuca go wszystkim z arogancją, która przecież nigdy polskiej „narodowej” cechy nie stanowiła.

Przeciw temu stemplowi fabrycznemu, wyciskanemu tylekroć na wszystkich jej postępkach, czynach i błędach politycznych, na swoich machinacjach wyborczych, krętactwach taktycznych, napaściach partyjnych — protestują stale te stronnictwa — o których wspomina, protestujemy i my równie energicznie.

Nie pojęła widać N. D., że zupełnie zrozumiałe „obrzydzenie” i „wstręt” z jakim przyjmują jej przeciwnicy epitet „narodowy” nigdy nie odnosił się do narodu samego lecz do wyrazu, służącego za szyld dla przedsięwzięć niemających z polskością nic wspólnego. Najpobożniejszy czciciel Matki Boskiej Częstochowskiej nie pada przed nią na kolana w każdej wędliniarni, a najprawowierniejszy chrześcijanin nie będzie poczytywał za współwyznawców tych wszystkich, którzy w dzień pogromu krzyżami znaczyli drzwi i ściany swych mieszkań. Samej sobie tylko N. D. przypisać to powinna, że zdołała znacznej większości narodu obrzydzić godła i hasła, niegdyś powszechnie czczone, a dziś przez nią sprofanowane przez hałaśliwe obnoszenie ich po jarmarkach. Tylko też w siebie samą zdołała wmówić, że ona jest rdzeniem narodu, jest identyczną z narodem samym, ale i w jej własnym obozie już coraz więcej ślepych zaczyna wzrok odzyskiwać.

Dla nas żadne „przekonania społeczne” nikogo nie usuwają poza nawias narodu. Pojęcie Polski jest znacznie szersze niż ta ciasna ramka, w którą je N. D. wtłoczyć pragnie. Pocieszamy się też, że narodowość polska nie zginie, choćby się Narodowa Demokracja rozproszkowała na drobne szcząteczki i choćby w obozie swych przeciwników ujrzała naraz 11 miljonów Polaków mniej 10-ciu lub 12-tu. Nie zginie też, choćby nawet świeża próba solidarnego wystąpienia stronnictw — tak daleka od wszelkiej koncentracji miała pozostać ostatnią. Czasem konieczność zmusza iść razem, ale stokroć częściej zyskuje na tym ogół, gdy każdy w myśl swych szczerych przekonań działa osobno. Unika się przez to narzucania ogółowi błędów jednej grupy — a czasem zdarza się, że mniejszość, która jasno widzi i dobrze mierzy, — ratuje obałamuconą i oślepioną całość od klęski lub — kompromitacji. Powinna się z tym liczyć właśnie ta partja, która dotąd z tak stałym niepowodzeniem dzierżyła ster spraw całego społeczeństwa. Toż jedyną dla niej ulgą w ciężkiej odpowiedzialności, jaką na się wzięła, jest że znajdą się „inni”, którzy obiorą nowe i może trafniejsze drogi do chybionego przez nią celu.

Reforma agrarna.

Niespodzianie dla samej Dumy pod obrady weszła sprawa agrarna, — jeden z najpoważniejszych projektów prawodawczych. W pierwszych dwuch Dumach sprawa agrarna była najdrażliwszą kwestją, łączyło się z nią dla klas posiadających widmo wywłaszczenia, co w połączeniu z ogólną silnie krytyczną polityką opozycji było przyczyną dwukrotnego rozwiązania Dumy.

W trzeciej Dumie wszelkie poważniejsze reformy odkładano do momentu uspokojenia, t. j. do niewiadomego czasu i jakkolwiek moment ten w rozumieniu sfer rządzących jeszcze nie nastąpił, jednak musiano przystąpić do poważniejszych reform nietyle z powodu ogólnego niezadowolenia, ile ze względu na wyczerpanie się materjału bezprogramowego w rodzaju praw o pralniach i t. p.

W programie jednak na obecną sesję t. j. w wiadomym liście p. Stołypina sprawa agrarna bynajmniej nie zajmowała honorowego miejsca i tylko dzięki wypadkowi, że materjały do reorganizacji sądowej były nieopracowane i zawdzięczając zręcznemu manewrowi opozycji sprawa agrarna dostała się pod obrady. Z dotychczasowych kilkudniowych obrad żadnych pozytywnych wniosków wyciągnąć się nie da w znaczeniu ma się rozumieć dodatnim, bo w znaczeniu ujemnym los tego projektu jest już widoczny. Nieszczęściem jest dla mas ludowych, bo ich głównie to dotyczy, że projekt ten wchodzi pod obrady post factum. Wydany na mocy § 87 pr. zap., który dozwala w razie przerwy w życiu prawodawczym izb wydawać niecierpiące zwłoki prawa, prawie że już od dwuch lat wszedł w życie tu i owdzie przy wielkim oporze „obszczyny” dochodzącym do krwawych starć, gdyż przez wyjście z „obszczyny” niektórych członków interesy pozostałej większości silnie ucierpiały. Już samo pochodzenie projektu wskazuje, że nosi on wszelkie cechy biurokratycznej roboty i w żadnym razie rząd nie powinien był korzystać z § 87 dla przeprowadzenia reformy agrarnej, która zbyt jest poważną, zbyt skomplikowaną i wymagała wszechstronnego rozpatrzenia w Dumie przed wprowadzeniem jej w życie. Również i komentarz do § 87, który mówi o sprawach nie cierpiących zwłoki nie da się zastosować do tego projektu, dla którego ze względu na jego ważność zwłoka kilku miesięcy nie gra roli.

Obecnie jest wszelka pewność, że projekt przejdzie w tej formie jak go wniósł pod obrady rząd z niewielkimi poprawkami, i jakkolwiek nowy projekt jest dodatnim w porównaniu z reformą z 1861 roku, jednak ilościowo nie przysporzy włościanom ziemi, a jakościowo, będąc przeprowadzony oddzielnie od praw dotyczących swobody jednostki, nie podniesie kulturalnie mas ludowych.

Nieliczni w Dumie włościanie bardzo sceptycznie zapatrują się na nowe prawo, są jednak zbyt mało reprezentowani, by mogli nadać swemu niezadowoleniu realny wyraz.

F. Honowski.

Polemiści żargonowi.

Jeden z ostatnich numerów *Przeglądu Porannego* przyniósł nam wiadomość o polemice rabinów, którzy w dwuch żargonowych pismach, wymyślają sobie wzajemnie od złodzieji, szubrawców i t. p. Żargonowy *Hajnt* nazywa kooperatystów czarną sotnią i nie waha się powiedzieć, że Dubrowin i Kruszewan są dobroczyńcami ludności żydowskiej w porównaniu z... Abramowskim i Wojciechowskim.

Metody polemiczne tych organów naśladuje po polsku drukowany tygodnik *Społeczeństwo* używając w polemice wyrażeń „makler przysięgły" i „nieuk".

Gdyby *Społeczeństwo* było wydawane w żargonie, styl jego byłby zupełnie na miejscu. Z pism bowiem wydawanych po polsku tylko *Rola* jeszcze przemawia niekiedy podobnym językiem. *j.*

Szanowna Redakcjo!

W artykule moim „Jeszcze słówko" korektor opuścił kilka wyrazów, a mianowicie w wyliczeniu niemieckich związków zawodowych, po związkach zawodowych socjalistycznych powinny być *związki zawodowe liberalne, t. zw. Hirscha i Dunkera*.

Pomimo najszczerszej chęci nie robienia Sz. Redakcji kłopotu sprostowaniem, jednak muszę prosić o poprawienie tego błędu. Mówiąc o niemieckich związkach zawodowych, niepodobna opuścić organizacji liberalnej, liczącej przeszło sto tysięcy robotników i znanej z tego, że pierwsza najlepiej wprowadziła u siebie samopomoc ekonomiczną na wzór angielski (np. ubezpieczenia od bezrobocia) bez żadnej pomocy państwa i pracodawców. Znaczenie wychowawcze tych związków, oraz pobudka do naśladownictwa, jaką dały innym związkom — nie ulega wątpliwości.

Obszerne studjum w tej kwestji umieściłem w Nr. 169 gazety *Ludzkość* z dnia 28 grudnia 1906 roku, dokąd odsyłam ciekawego czytelnika.

Z szacunkiem
Jerzy Kurnatowski.

Godne naśladownictwa.

Nawoływanie prasy o przysporzenie składek i ofiar Towarzystwu Wpisów Szkolnych, które z ogromnym wysiłkiem pracy zbiera fundusze na wpisy dla ubogiej młodzieży, nie pozostają bez echa.

Dowiadujemy się, że między innymi pracownicy firmy „Krzysztof Brun i Syn" zobowiązali się składać stałą składkę miesięczną na wpisy do kasy Towarzystwa wnosząc jednorazowo 171 rb. 35 kop. Ze znaczniejszych ofiar wpłynęło w tych dniach za pośrednictwem p. Switkowskiego po likwidacji wydawnictwa *Przełom* i *Jutro* rb. 325 kop. 40 Są to objawy pocieszające i oby nie pozostały ez naśladownictwa.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 10 listopada.

Sprawa interviewu cesarskiego omawiana jest, jak wiadomo, w parlamencie niemieckim. Stronnictwa, o ile z formy interpelacji sądzić można, nie zaznaczyły swego stanowiska dość jasno. Właściwie, wniosku o ściślejsze określenie art. 17 konstytucji niemieckiej nie postawiono z żadnej strony. Wyrażono tylko życzenia zmodyfikowania ustawy zasadniczej w duchu zapewnienia odpowiedzialności ministrów i usunięcia rządów osobistych, co zresztą więcej wyrozumieć można z uchwał powziętych na zebraniach grup parlamentarnych, niż z osnowy interpelacji. Przypuszczenie, że z teraźniejszych rozpraw w parlamencie Rzeszy wyjść może stanowczy zwrot konstytucjonalizmu niemieckiego w kierunku liberalnym, byłoby tembardziej nie na miejscu że interpelacje nie są projektami prawodawczymi, lecz tylko zapytaniami zwróconymi do rządu. Kanclerz Bülow potrafił przez osobiste porozumienie z przywódcami stronnictw, uciszyć szorstkie przeciwieństwa, jakie zrazu wystąpiły. Żadne stronnictwo nie domaga się dziś ustąpienia skompromitowanego bądź co bądź kanclerza. Przeciwnie, nawet wolnomyślni wyrażają uznanie dla jego zręczności i oceniają pochlebnie usługi, jakie oddał państwu. Konserwatyści i narodowi liberałowie twierdzą stanowczo, że jest on niezastąpionym i usuwać się nie może tembardziej, że konjunktura międzynarodowa nie wygląda zachęcająco, wewnętrzne położenie Niemiec wymaga kierownika silnego i wytrawnego. Tak samo prawie przemawia i wolnomyślny *Berl. Tageblatt*, chociaż oburza się na uwagi tych, co twierdzą, że kandydata na piątego kanclerza niemieckiego w tej chwili trudno byłoby wynaleźć.

Zdaje się, że jedynym wynikiem teraźniejszych rozpraw w parlamencie Rzeszy będzie tylko mniej lub więcej udatne zatuszowanie skandalu wywołanego przez interview cesarski i objaśnienie półurzędowego organu kanclerskiego. Ks. Bülow jest Niemcom potrzebny, więc na urzędzie pozostanie. Może znajdą się ofiary w niższym personelu ministerjum zagranicznego, które zostaną poświęcone *diis manibus* dla przebłagania krótkotrwałego zapalenia cierpliwości niemieckiej.

Cokolwiek wszakże wyniknie z rozpraw nad interview'em, położenie grup wolnomyślnych w bloku kanclerskim stanie się coraz trudniejszym. Zależy to nietyle od stosunku ich do rządu ile do własnych stronnictw, co mianowicie widać z uchwał powziętych na zebraniach różnych kół Freisinn'u. Wszędzie stawiają posłom kategoryczne żądanie przeprowadzenia radykalnych zmian w konstytucji państwa.

* * *

Sprawa słowiańszczyzny południowej zagrożonej przez Austrję posunęła się w tej chwili bardzo nieznacznie naprzód, lecz pozyskała dla siebie ważny i niepewny dotąd czynnik, Rosję. Przyczyniła się do tego zarówno postawa słowianofilskich żywiołów Dumy i jej prezesa p. Chomiakowa, jako też przyjazd do Petersburga i przyjęcie następcy tronu serbskiego ks. Jerzego wraz z b. ministrem Pasiczem. Zrozumiano w Rosji, jak się zdaje, że snuć nadal politykę dyplomatycznych zabiegów p. Izwolskiego znaczyłoby odstąpić zupełnie od interesów Słowiaństwa i tym samym skompromitować niebezpiecznie interesy samej Rosji. Przyrzeczono tedy księciu serbskiemu, że naród jego może liczyć na zupełne moralne poparcie ze strony państwa i narodu rosyjskiego, chociaż ani rząd ani prasa przezeń inspirowana nie wspomina o czynnej pomocy. Lecz do tego zmusić może w danym razie sama siła wypadków, potężniejsza niż wszystkie przewidywania i zastrzeżenia dyplomatów.

Wrzenie panujące na półwyspie Bałkańskim bardzo łatwo przejść może co chwila w zatarg orężny, zwłaszcza, że wszystkie ludy słowiańskie stawiają pod broń w jednomyślnej gotowości, i w niezawodnym już prawie przymierzu z Turcją.

St. P.

KRONIKA.

— Czarnogórze, według słów członka rady tego państwa Mijuszkowicza, gotowe jest wystąpić przeciw każdemu wrogowi, wskazanemu przez Rosję.

— Rząd austryjacki złożył Radzie państwa projekt przymusowego ubezpieczenia robotników, rękodzielników, drobnych kupców i mniejszych właścicieli ziemskich na wypadek niezdolności do pracy, na starość, w razie choroby i nieszczęśliwego wypadku. Wiek dla otrzymania emerytury określony został na 65 lat.

— Król Jerzy grecki bawił dnia 5 b. m. w gościnie u cesarza Franciszka Józefa w Wiedniu i konferował z austryjackim ministrem spraw wewnętrznych bar. Aerenthalem

— Między Petersburgiem i Warszawą mają być wprowadzone pociągi błyskawiczne, złożone tylko z wagonów I-ej klasy

— Projektowane jest zwołanie konferencji w Hadze celem opracowania międzynarodowego prawa wekslowego.

— W Konstantynopolu krążą uporczywie pogłoski o nieuniknionej abdykacji sułtana Abdul-Hamida.

— Austryjacki prezes ministrów bar. Beck podał się wraz z całym gabinetem do dymisji. Misję utworzenia nowego gabinetu cesarz Franciszek Józef powierzył d-wi Bienerth'owi. Jako pewni kandydaci do tek ministerjalnych wymieniani są Głąbiński, Dzieduszycki i Biliński.

— Posłowie prawicy w Dumie starają się o audjencję w Carskim Siole.

— Poseł Kosorotow został aresztowany w Petersburgu u swego kolegi parlamentarnego Woronina i po usilnych staraniach został uwolniony.

— Gubernatorzy otrzymali z Departamentu policji polecenie niedopuszczania otwierania bibjotek publicznych i czytelni po wsiach.

— Sprawą nadużyć w Magistracie Warszawskim, wykazanych przez „Goniec", zajął się prokurator.

— Krążą pogłoski, że szach perski zamierza prosić Rosję o wprowadzenie wojsk do Tebrysu.

— Bawią w Petersburgu kapitaliści niemieccy, którzy chcą ulokować 50 miljonów rubli w przedsiębiorstwach górniczych na Kaukazie.

— Ministerjum rolnictwa zamierza ściągnąć zapomogi, wydane w roku 1905 na meljoracje rolne drogą wystawienia na licytację majątków najpóźniej w lutym 1909 roku.

— Prezes ministrów Stołypin znowu jest zachwiany z powodu niepowodzenia misji zagranicznej Izwolskiego i dopuszczenie do obrad w Izbie nad sprawą agrarną. Jako następcy wymieniani są Durnowo i Kokowcew.

— Andrzej Durski, jeden z zasłużonych założycieli Sokoła zmarł 6 b. m. we Lwowie.

— [illegible]

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu Janowi Kr. i innym zapytującym. Autorką wierszy, drukowanych w odcinkach Nr. Nr. 42, 43 i 44 „Prawdy" jest utalentowana poetka, pisząca pod [illegible]

P. Helenie Podziechowskiej z Sieradza donosimy, że polecenie spełniliśmy.

P. I. i Helenie Furowiczom donosimy, że polecenia ich spełniliśmy.

Do niniejszego numeru dołącza się prospekt nowej gazety p. t, *Dzień*, wydawanej przez p. Stefana Górskiego.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.
Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8,